APTEKA GRABOWSKIEGO
187, DRAYCOTT AVE, LONDON, S.W.3.
Tel. KEN 0983.
wysyła wszelkie lekarstwa do Polski
Najtaniej jest wysyłać
P.A.S. w proszku a nie w tabletkach
500 gr. kosztuje tylko £.3.0.0.
500 tab. P.A.S. — £ .1.15.0
3 miliony j: PENICYLINY — £.1. 3.6

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

PROF. ALEKSANDER BRÜCKNER
LITERATURA POLSKA
Od jej początku do chwili obecnej
Uzupełnił dr Stanisław Lam
Str. 320.
Cena 18/-, z przesyłką 18/6.
Do nabycia w VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK V. NR 32/216

LONDYN, NIEDZIELA 12 SIERPNIA 1951 R.

MICHAŁ KORIAKOFF — TŁUM. W. ŚWIĄTKOWSKI

ARMIA SOWIECKA WKRACZA DO POLSKI

Tłumaczenie, które zamieszczamy poniżej, jest fragmentem książki b. sowieckiego kapitana, Michała Koriakoffa. Książka nosi tytuł „Dlaczego nie wracam do Rosji Sowieckiej", a wydana została dotychczas w kilku językach.

Koriakoff, urodzony w r. 1911 na Syberii, otrzymał wykształcenie w szkołach sowieckich z zakresu filozofii, literatury i historii. Został dziennikarzem i publicystą. W czasie wojny wyznaczono mu funkcję korespondenta wojennego.

Szkoła sowiecka nie zabiła w Koriakoffie swobody myśli, a wychowanie ateistyczne pragnienia Boga. Patrzył na świat, który go otaczał, z rozeznaniem zła, które w nim tkwiło. Doprowadza go to do konfliktów z przełożonymi, a w końcu, w r. 1946 — po okresie pracy propagandowej w ambasadzie sowieckiej w Paryżu — do ucieczki i — napisania książki z jej uzasadnieniem.

Rozdział, który drukujemy, dotyczy okresu wejścia „wyzwoleńczej" armii sowieckiej na ziemie polskie. Oświetlenie tego okresu przez Koriakoffa doskonale wyjaśnia istotę „manifestu lipcowego", którego siódmą rocznicę — jako „święto narodowe" — obchodzili komuniści ostatnio w Polsce. Jest jeszcze jednym świadectwem stosunku Sowietów do Polski, Armii Podziemnej i późniejszego Powstania Warszawskiego.

RED.

„LISTOPAD 1944. Nie na tym miały się skończyć jeszcze moje przygody. W międzyczasie wiele się zmieniło, armie nasze sforsowały Bug, weszły do Polski, zajęły Pragę, przedmieście Warszawy i doszły do Sandomierza, po lewej stronie Wisły. Ja jednak, jako człowiek „o obcej ideologii", byłem właściwie wyrzucony poza nawias, nie było formalnego powodu oddania mnie pod sąd, zdegradowania mnie lub wtrącenia do więzienia, więc trzyma się mnie, gdzie można.

Następnie opowiada autor, że oddział, do którego przydzielono go, składał się z ludzi, którzy mieli jakieś dochodzenia, czy też byli ukarani dyscyplinarnie lub nawet sądownie... jedynie jego wypadek, choć był skandalem w pojęciu władz, nie mógł być przekazany sądowi, gdyż nie ma odpowiedniego artykułu w kodeksie, co jednak nie przeszkadzało trzymać go w tym oddziale. W tym zbiorowisku pozostawało jedynie czytać, a ponieważ autor nabywa coraz więcej znajomości polskiego, rozczytuje się w literaturze polskiej.

„...Moi towarzysze wyśmiewają się ze mnie z powodu mej „biblioteki polskiej". Moje sympatie... propolskie były jeszcze jakby kaprysem i nie były popierane przez szefów. Przeciwnie, było raczej w dobrym guście mieć pewnego rodzaju pogardę dla Polski i to nie dlatego że „zdradziła ona słowiańszczyznę", albo że nosiła w żyłach „kulturę łacińską", lecz dlatego, że armia czerwona zadufana w swe zwycięstwo, a nie przyzwyczajona oceniać cokolwiek innego, niż siłę, miała w pogardzie Polskę, słabą militarnie.

Do mnie zaś każda kartka historii Polski przemawiała swą siłą, tą siłą prawdziwą i wieczną, która jest wolność i miłość wolności. Przy świeczce ze wzruszeniem czytałem nacechowane odwagą karty Lelewela, demokraty i historyka polskiego z połowy 19 wieku, który wzywał do walki z ustrojem opierającym się jedynie na ślepym posłuszeństwie, i to nie tylko Polaków, lecz wszystkich Słowian za waszą i nasza wolność.

...I znowu źdźbła słomy spadają na moje posłanie z górnej pryczy. Człowiek schodzący, wysoki mężczyzna, szeroki w ramionach, o twarzy opuchniętej, bladej. Przechodząc rzuca mi spojrzenie ponure, zaspane i powłócząc nogami — wychodzi. Po chwili wraca, drżąc pod swoją kapotą.

— Kapitanie, czy macie coś do palenia? — zapytał mnie drżącym głosem.

W oddziale każdy wie, że nie palę, ale to jest „nowy", przybył dopiero wczoraj. Ubrany w mundur polski, w długą bluzę zieloną, z orzełkami na guzikach, z czworogranną czapką, którą zaraz po przyjściu rzucił na stół mówiąc: „zobaczcie, co mi włożono na głowę, gdzie jest wasza służba zaopatrzenia — natychmiast zażądam, by mi dano czapkę rosyjską".

— Wy nie palicie, szkoda — powiedział.

Zebrał niedopałki, których pełno było na ziemi, skręcił papierosa i zapaliwszy go od świeczki, zasiadł w nogach mojego posłania.

— A wy, kapitanie, ciągle uczycie się „wszystko, wszystko"? Też pomysł, ale w takim razie dlaczego was tu trzymają, powinniście zaciągnąć się do armii polskiej — bo jeśli o mnie chodzi, miałem wiele kłopotów z wydostaniem się z niej.

— Jesteście Polakiem? — zapytałem.

— Także coś, — jestem Ukraińcem, ale mam dziwne nazwisko Świderski, pochodzę z Wasylkowa koło Kijowa.

— A długo byliście w armii polskiej?

— O, tak, przeszło rok. Armia czerwona jeszcze nie doszła do granic Polski, gdy mnie tam wzięto. Gdy Anders wyjechał, wasi wzięli się do formowania armii polskiej. Ale skąd wziąć Polaków? Wyjechali z Andersem, pozostało bardzo niewielu, więc przystąpiono do zbierania takich jak ja, których nazwiska mogły ujść. Podwójny żołd, daleko lepsze wyżywienie, zawsze na tyłach. Czerwona armia posuwała się, a my za nią.

— A więc dlaczego tam nie zostałeś?

— Nie mogłem tego znieść, przede wszystkim języka. Na Wołyniu uzupełniono nasz stan, tym razem prawdziwymi Polakami, młodzi nie mówili ani słówka po rosyjsku, jakże więc chcecie nimi dowodzić, gdy musisz co chwila zwracać się do tłumacza?

— No, ale przecież uczono was języka?

— To łatwo powiedzieć! Uczyć się! Ukarano mnie nawet pozbawieniem żołdu za to, że źle się uczyłem, cóż robić. — gdy to „wszystko, wszystko" nie idzie mi do głowy! Lecz najgorsze to te modlitwy! Dopóki byliśmy w Rosji, nie zmuszano nas, lecz po wejściu do Polski, kazano nam się modlić codziennie, i to publicznie wobec wszystkich ludzi. Posłuchaj tylko takiego zdarzenia: musiałem prowadzić mój batalion na modlitwy i sam dawać przykład, klęcząc z odkrytą głową. Początkowo, po prostu zasłaniało się rękoma twarz i można było śmiać się dowoli, uważaliśmy to za maskaradę, traktowaliśmy tę sprawę lekko. Ale na dłuższą metę maskarada zaczynała mnie męczyć, dostawałem mdłości! Bo widzisz do tych spraw trzeba podchodzić tak, że albo się wierzy na prawdę, albo... ale nie można tego robić w ten sposób. Nie wiem, co byłoby zaszło później, lecz jednego dnia coś dziwnego stało się ze mną. Tego dnia ustawiono ołtarz polowy, umieszczono na nim krzyż i mieliśmy wszyscy przyjąć komunię świętą. Biskup przybył z Lublina; oficerowie mieli pierwsi zbliżyć się do ołtarza; klękano więc, język wysuwa się na wierzch i dają ci coś białego na język, co należy połknąć, a co nazywa się hostia. Przychodzi kolej na mnie, — staruszek pochyla się nade mną, mój język wysunięty i... w tym momencie zrywam się na równe nogi, jak gdyby uniesiony wiatrem i poczynam krzyczeć: „nie mogę, nie mogę". Staruszek odskoczył w tył, mało nie wywrócił srebrnego kielicha; wszyscy patrzą na mnie i w ogóle nie może być mowy o dalszym ciągu mszy! Kriwolapoff, komendant batalionu, zwraca się do mnie, blady jak śmierć: „Świderski, nie będę mógł ukryć tego przed naszymi szefami, jesteś skończony, czeka cię kompania karna". Sprawa nie zaszła tak daleko, ale wyrzucono mnie z armii polskiej i przysłano tutaj. Jest mi teraz znacznie lepiej, jestem zadowolony...

Świderski pociągnął raz jeszcze papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i począł wspinać się na swoją pryczę.

— Poproś, by cię przydzielono do armii polskiej, kapitanie. Z twoją znajomością języka, możesz tam zrobić piękną karierę — powiedział.

Rozmowa ze Świderskim przejęła mnie bardzo. Wiedziałem, że przeprowadzano rekrutację wśród oficerów sowieckich do armii polskiej. Wielu z nich, nie znając języka i nudząc się na nabożeństwach, uważało ten przydział za „ciężkie roboty". Szło się tam wbrew woli, — powołując się na „dyscyplinę partyjną", rekrutowano komunistów, gdyż armia polska miała za mało oficerów.

Czym była właściwie dla mnie Polska przedtem i czym stawała się obecnie? — Przed wojną była dla mnie niczym: oddzieleni „chińskim murem" od reszty Europy, nie wiedzieliśmy nic o życiu innych narodów, nawet o naszych najbliższych sasiadach. Wyobrażano ja sobie w sposób bardzo nieokreślony zresztą jako coś nieprzyjaznego, coś przeciwnego nam. Była dla nas najbliższym „okrążeniem kapitalistycznym", czymś, przed czym powinniśmy się trzymać zawsze „gotowi do mobilizacji". „Inteligencja" do tego uczucia wspomnień słowianofilskich, dodawała wspomnienie, „że Polska była perwersja słowianiznu przez wychowanie łacińskie, przeciwne słowiańszczyźnie greckiej i wschodniej szczepów naddunajskich, Moskwy i Rusi".

Wojna obaliła przegrody i obecnie możliśmy patrzeć daleko we wszystkich kierunkach i wiele rzeczy widzieliśmy obecnie innymi oczyma, niż w wyobraźni. Na mojej drodze spotkałem Polskę i zobaczyłem jaki to piękny kraj i jak nam bliski. Pola, pagórki, lasy — jak u nas: krajobraz prosty, nie nadzwyczajnie piękny, a jednak pełen uroku. Po wsiach, izby jak u nas: wielkie piece, kolorowe dywany, gościnność, jak nigdzie indziej. A co zdawało mi się ponad wszystko piękne, to potężne poczucie religijności ludu. W ciągu mego życia widziałem wiele fermentów destrukcyjnych, działających w Rosji. Polska, dzięki opiece religii, uniknęła tego.

Słowianizm, łacińskość... Prawosławie, katolicyzm... Czym były dla mnie te przeciwstawieństwa? Dogmaty prawosławia i katolicyzmu były mi nieznane, a jednak czułem w sobie potężne uczucie religijności, które wypełniało całą moją istotę. Wiara moja była podobna do prostej i spontanicznej wiary ludu. Wszędzie: czy to w Polsce, czy w Rosji, lud zna Boga, a nie zna dogmatów teologicznych. Zarówno na prawosławnym Wołyniu (?), jak w katolickiej Polsce, wieśniacy z okazji świąt modlili się w kościele, a później, wróciwszy do siebie, promieniejący przygotowywali wieczerzę. Mnie było obojętne, gdzie się mam modlić: w rosyjskiej prawosławnej cerkwi, czy w polskim, katolickim kościele.

W pobliżu obozu położona była mała wieś Dembe. Tam, w tajemnicy chodziłem do kościoła. Wchodziłem cichutko, starając się nie robić hałasu moimi butami, siadałem w ławce, zakrywając twarz rękami, wsłuchując się w te niezwykłe uczucia, które żyły we mnie i modliłem się: „O mój Boże, oddaję Ci się cały, kieruj mną, naucz mnie co należy czynić, utwierdź mnie!"

W Polsce poznawałem katolicyzm, a przez katolicyzm poznałem Polskę. Poprzez religię doszedłem do źródeł duchowych Polski, zrozumiałem jej rycerskość i jej romantyzm.

Jest rzeczą naturalną dla człowieka sowieckiego, oddzielonego przez tyle lat od reszty świata nieprzezwyciężonym murem, że odczuwał pogardę dla Polski. Pogarda ta zrodzona była z nieświadomości; nie wiedziano, co znajduje się za tym „murem": pokrzywy, czy chwasty... „Zaraza kapitalistyczna", „śmiecie kapitalistyczne". — Sympatia rodzi się ze zrozumienia i w ten właśnie sposób pokochałem z całej duszy Polskę, małą Polskę bohaterską, która miała lata chwały za Jagiellonów, która znała lata świetności za panowania Zygmunta Augusta, która upajała się chwałą za Stefana Batorego i Jana Sobieskiego, a która obecnie konała, zmiażdżona pod straszliwymi ciosami.

1 września 1939 r. Niemcy rzucili na Polskę 96 dywizji piechoty, 9 dywizji tanków i 8.500 samolotów pierwszej linii. Polska znalazła się otoczona. Nieprzyjaciel atakował z Niemiec, Prus Wschodnich i Słowacji: Polacy bronili się bohatersko, wierzyli w to, że będą mogli oprzeć się na wschodzie i stąd odparować atak. 17 września mur wschodni upadł: armia czerwona przeszła granice. Polska została zaatakowana z dwóch stron.

Nasze dzienniki, szczególnie „Prawda", żywiły się wtedy wykpiwaniem Goebbelsa. Wedle informacji niemieckich, Polacy byli „złymi żołnierzami" i poddali się w ciągu 18 dni etc... Te kalumnie pomagały wzrastać uczuciu pogardy wśród ludzi nieświadomych. I dopiero w Polsce, po raz pierwszy usłyszeliśmy o Westerplatte, armii gen. Kleeberga i o obronie Warszawy aż do dnia 2 października.

Serce moje krwawiło dla Polski i miałem ochotę jej służyć.

„Poproś, kapitanie, niech cię przydzielą do armii polskiej"...

— Tak, poproszę! Jeżeli jest rzeczą nieuniknioną, by byli w niej oficerowie sowieccy, będzie lepiej dla Polski, by byli tacy jak ja.

Następnego dnia, wyczyściwszy buty i mundur, poszedłem do komendanta kadry. Pułkownik był dla mnie życzliwy, ale nie wiele mógł zrobić. Oficerowie kadry zależeli od dowództwa kadry sztabu generalnego frontu, lecz pułkownik mógł dać mi zezwolenie udania się do sztabu armii polskiej, który znajdował się w Lublinie. Zrobił to bardzo chętnie i nawet zachęcał mnie do wykonania mych projektów.

Nazajutrz byłem już w Lublinie. Małe to miasteczko, dosyć brudne, całe w małych, krętych uliczkach, w tym czasie było bardzo ożywione.. Lublin zdawał się przeżywać po raz drugi dni swej chwały. Przez te same uliczki 400 lat temu, z okazji Unii z Litwą, król Zygmunt August jechał konno z senatu do kościoła, gdzie śpiewano „Te Deum". Ale rok 1944 w niczym nie przypominał złotego wieku Zygmunta Augusta. Funkcjonariusze sowieccy rządzili w ministerstwach prowizorycznej stolicy Polski, zainstalowanej tam pośpiesznie. W biurach sztabu pełno było oficerów czerwonej armii, którzy nawet nie zadali sobie trudu, by zmienić mundury na polskie.

Gdy oficer ordynansowy szefa wydziału personalnego, to znaczy szefa kadr sztabu generalnego, otworzył mi drzwi, zobaczyłem pułkownika rosyjskiego, ze złotymi epoletami i papachą z futra baraniego na głowie, siedzącego przy biurku.

— Czy pozwoli pan pułkownik... — rozpocząłem po polsku.

Pułkownik zaczął się śmiać:

— Brawo! Gdybyż wszyscy oficerowie mówili tak jak pan!... Trzeba was wziąć do armii polskiej, kapitanie. W jakiej służycie broni?

— Dowodziłem kompanią saperów — odpowiedziałem.

— Czy macie swoje papiery wojskowe przy sobie?

Podałem pułkownikowi moje „dosier", złamał pieczątkę, otworzył i zaczął czytać pierwsze strony: były to opinie otrzymane w 1942 r. Była w nich mowa o mych zdolnościach dowodzenia, o mych zaletach woli itd. Gdy zobaczył moje odznaczenia, przerwał na tym swą lekturę. Ostatnie strony „dossier" mówiły o mej „obcej ideologii", lecz pilnie strzegłem, by nie zwracać na to jego uwagi. Najważniejszym dla mnie było wyjście z batalionu dyscyplinarnego, a potem zobaczy się, — może jakoś sprawy się ułożą.

— No dobrze, powiedział pułkownik, — proszę to zostawić oficerowi ordynansowemu, a to dla was... — i wyrwawszy kartkę z bloku, napisał wielkimi literami:

„Towarzyszu Antoniuk! Wobec znajomości języka polskiego proszę oddać kapitana do mej dyspozycji dla objęcia stanowiska komendanta kompanii saperów. — Pułk. Krycki."

— Nie jest to sprawa trudna — dodał Krycki, uśmiechając się — mamy prawo odkomenderować z każdego oddziału każdego oficera do polskiej armii. Towarzysz Stalin przywiązuje ogromną wagę do tego, by skompletować kadry polskiej armii.

Krycki, podniósłszy się, podał mi rękę i powiedział:

— To byłoby wszystko — proszę pójść do sztabu generalnego frontu. Tymczasem znajdzie się dla pana zajęcie tutaj na dziś i jutro. A pojutrze weźmiecie się do roboty.

Na skrzydłach nadziei leciałem wprost do sztabu frontu. Ale pułkownik Antoniuk, komendant kadr frontu, szybko podciął moje skrzydła. Przeczytał pismo Kryckiego, popatrzył na mnie, ponownie odczytał pismo...

— Czy Krycki widział wasze „dossier"?

— Tak, czytał — odpowiedziałem.

— Dziwne... — powiedział pułkownik. A potem, po namyśle, powziął decyzję i powiedział:

— Nie mogę odkomenderować was do armii polskiej bez pozwolenia Moskwy. Krycki musi odnieść się do Moskwy do departamentu generalnego kadr armii czerwonej.

— Nie wiem — odrzekłem. — Powiedział mi, że ma prawo rekrutować oficerów wprost tutaj na froncie...

— Powiedział, powiedział... — zniecierpliwił się Antoniuk. — Powtarzam wam: bez Moskwy nie mogę was przydzielić. Wracajcie do waszego oddziału, a jeśli chodzi o Kryckiego, zatelefonuję do niego.

— Czy mogę czekać na pana wezwanie, pułkowniku, w moim oddziale? — zapytałem.

— Naturalnie... Możecie czekać, dlaczegoż by nie?

... Upłynął miesiąc. Ciągle obozowaliśmy jeszcze w baraku, w lesie sosnowym, nad brzegiem Wisły. Oddziały piechoty, armaty, przechodziły koło naszego obozu, przechodziły rzekę i szły w kierunku Sandomierza. Nocą słyszeliśmy ruch czołgów. Postój naszej armii nad Wisłą, który trwał sześć miesięcy miał się ku końcowi. Mówiono, że z chwilą uformowania się komitetu w Lublinie, oficjalnego rządu Polski, nasza armia przejdzie do ofensywy. Jak zwykle przed ofensywą nasza kadra zmniejszała się z dnia na dzień: młodzi oficerowie przybyli ze szkół a ci z kompanii dyscyplinarnej, jeden po drugim, odchodzili do różnych oddziałów. Wyjechał Świderski i wielu innych. Tylko ja, dla którego nie było miejsca, zostałem.

Wezwanie nie nadchodziło ani z Lublina ani ze sztabu. Korzystając z moich dobrych stosunków z dowódcą pułku, zdecydowałem się raz jeszcze pójść do Kryckiego. Lecz tym razem przyjął mnie bardzo zimno.

— Towarzyszu pułkowniku, w sztabie chętnie przydzielono by mnie do pana dyspozycji lecz uważają, że musiałby się pan zwrócić o pozwolenie do Moskwy.

— Nikt nie chce pana nigdzie przydzielić! — uciął krótko Krzycki. — To wszystko!

— Czy mogę wziąć moje „dossier" osobiste?

— Zapytajcie oficera ordynansowego, jeżeli nie odesłał go do kadry z adnotacją „bez dalszego biegu".

I w ten sposób przeznaczenie nie dało mi służyć Polsce. Wyszedłem na ulice Lublina. Był to ostatni dzień 1944 roku. Na Krakowskim Przedmieściu, przed pomnikiem Unii Lubelskiej przechodził pułk piechoty z rozwiniętymi sztandarami. Otwierano sesję Rady Krajowej. Komitet Lubelski przekształcał się w rząd.

Myśli moje obracały się wokoło wypadków przeszłych i tych, które nadchodzą. Fala 1944 roku zalała mnie, nowa fala uniesie mnie, czy rok następny będzie równie burzliwy, dokąd mnie zaprowadzi? Jak wysoko zaniesie mnie fala 1945 roku?

I nagła potrzeba modlitwy opanowała mnie gwałtownie.

Kościół pogrążony był w półcieniu i spokoju... Świece paliły się blisko ołtarza. W kaplicy wznosiła się figura Panny Marii, z koroną złotą na głowie, trzymającej Dzieciątko, wyciągające radośnie rączki. Nad figurą widniał napis po łacinie „Consolatrix". Klęknąwszy i kryjąc twarz w dłoniach, prosiłem o znalezienie pocieszenia na mojej nowej drodze. Jakieś światło rozlewało się we mnie i rosło, — nabierałem pewności: klęska jaką poniosłem była sprawą Opatrzności, lecz nić mojego życia ciągnęła się w inną stronę... Zbliżał się rok 1945. Spędziłem Sylwestra w kościele Panny Marii.

Michał Koriakoff

Tłum. W. Świątkowski

W SIÓDMĄ ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

UKAZAŁO SIĘ POLSKIE WYDANIE KSIĄŻKI

GEN. T. BORA KOMOROWSKIEGO

ARMIA PODZIEMNA

Ponad czterysta stron druku, mapy i szkice.

Cena egzemplarza broszurowanego £. 0.18.0. Cena egzemplarza w płóciennej oprawie £. 1.1.0. Przesyłka 6 d.

NAKŁAD: KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", 12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

Wyłączna sprzedaż na Francję, Marokko i Luksemburg: Składnica Książki Polskiej
LIBELLA, 12, Rue St. Louis en L'Ile, Paris IV, France.

TADEUSZ FELSZTYN

ZE WSPÓŁCZESNYCH ZAGADNIEŃ WYCHOWAWCZYCH (III)

SZKOŁY ŚREDNIE I WYŻSZE

Artykuł poniższy należy do cyklu, który pod tytułem „Ze współczesnych zagadnień wychowawczych" publikujemy w „ŻYCIU", starając się podkreślić wagę zagadnień wychowawczych i właściwego ich stawiania już dziś — w świecie, który z powszechnej zawieruchy się wyłoni, dając i Polsce wolność.

W cyklu tym drukowaliśmy dotąd dwa artykuły tego autora: w nr. 13-ym roku bieżącego p.t. „Polska, do której wrócimy", oraz z nrze 19 tegoż roku p.t. Reedukacja narodu". Cykl zostanie zamknięty artykułem, który niebawem zamieścimy.

RED.

SZKOŁA ŚREDNIA — SZKOŁĄ MYŚLENIA

SZKOŁA średnia w przyszłej Polsce będzie miała za zadanie nauczyć młodzież prawidłowego myślenia. I tu znów zgadzam się z W. A. Zbyszewskim, że oduczenie Polaków „nieporządnego myślenia", zerwanie z polską płytkością i zamiłowaniem do biagi, oto jedno z zadań szkoły w przyszłej Polsce. Trzeba niestety stwierdzić, że system nauczania w polskiej szkole przedwojennej, z jego szkodliwym eklektyzmem, nie dającym ani czasu, ani warunków do należytej podbudowy masowo w umysł wtłaczanych wiadomości, z jego zamiłowaniem do metody dyskusyjnej, cechy te raczej wzmagał, niż zwalczał. Wynik widzimy na łamach prasy emigracyjnej aż zbyt często: ileż tam powierzchownych sądów, mylnych logicznie wniosków, a nieraz nawet efektownych teoryj, opartych o „fakty", które nigdy nie miały miejsca.

Co więcej, owa powierzchowność, owa niechęć do ścisłego myślenia i do praktycznego używania pojęć i słów, uchodzi za dowód polotu, za zaprzeczenie „pedantyzmu", za świadectwo „genialnego dyletantyzmu".

Owa tendencja prześlizgiwania się po powierzchni, brania rzeczy po łepkach, unikania precyzji wysłowienia, lekceważenia istotnego znaczenia używanych słów, jest właśnie tym, co najbardziej sprzyja propagandzie sowieckiej politgramoty.

Ktokolwiek miał okazję dyskutowania nie tylko z sowieckimi uczonymi, ale również i z przeciętnym człowiekiem sowieckim, ten mógł się przekonać, jakie szalone spustoszenie wywołała wpojona w w nich metoda myślenia kilku nauczonymi, mocno szablonowymi i niesłychanie powierzchownymi zasadami, tezami, które w ich mniemaniu mają być uniwersalnym kluczem do wszystkich problemów. Ludzie ci, o zawstydzająco małym zakresie wiadomości, nieomal duchowi analfabeci, przeświadczeni ponadto że zjedli wszystkie rozumy świata — bo tak w nich wmówiono — mają w mózgach swych jakąś nieprzenikniona, żelazną kurtynę przeciw wszelkiemu rozumowaniu, przeciw wszelkim argumentom. Nie rozumiejąc na czym w ogóle prawidłowe rozumowanie polega nie znając istotnej treści używanych słów, niezdolni do odróżnienia logicznego wnioskowania od „dialektyki", nie tylko nie są zdolni do krytycznego podejścia do rzeczy, ale wręcz przeciwnie, odnoszą się doń wrogo, przekonani, że tylko oni znają całą prawdę i że wszystko inne musi być fałszem.

Z tym stanem rzeczy łączy się podsycana w kraju przez propagandę sowiecką, a na emigracji przez własne lenistwo umysłowe, „tendencja antyintelektualna", która, jak słusznie pisał Piotr Szary w „Tygodniku Powszechnym" (5. 3. 1950), jest „szczególnie niebezpieczna dla naszej umysłowości".

Toteż, gdy przystąpimy do leczenia chorych dusz polskich z zatrucia aurą sowiecką, silny nacisk trzeba będzie położyć na wykorzenienie wszelkich łatwizn myślenia, wszelkich nawyków brania rzeczy po łepkach, wszelkiej powierzchowności. Trzeba będzie na odwrót wyrobić szacunek dla głębi myślenia, dla wiedzy, umiłowanie prawdziwej fachowości, a więc zrozumienie konieczności myślenia prawidłowego, opartego o gruntowną i nieustannie sprawdzaną wiedzę.

Dlatego nauczenie gruntowności, sumienności i prawidłowości myślenia i wyrażania się musi być podstawą wytyczną polskiej szkoły średniej w odrodzonej Polsce.

ŁACINA I MATEMATYKA

Ażeby zadanie to wypełnić, ma szkoła dwa potężne i znakomite narzędzia do swej dyspozycji: naukę łaciny i naukę matematyki. Obie bowiem, idąc odmiennymi drogami, zgodnie zmierzają do tego samego celu: nauczenia ścisłości myślenia i ścisłości wyrażania się.

Nauka łaciny w szkole średniej ma bardzo wielu przeciwników. I tak, by przytoczyć jeden z ostatnich przykładów, p. Aleksander Łempicki, w cytowanym na wstępie artykule w „Wiadomościach", starał się bardzo długimi wywodami wykazać, że łacina jest zupełnie niepotrzebna i że jest ona właściwie jedynie zabytkiem średniowiecza.

Należy jednak pamiętać, że oprócz owego zadania pedagogicznego wysokiej miary, o którym mówiłem powyżej, nauka łaciny ma w odrodzonej polskiej szkole średniej i drugą jeszcze, niezmiernie ważną rolę do wypełnienia. Jeżeli bowiem, jak słusznie twierdzi p. Łempicki, „głównym celem szkolnictwa ogólnokształcącego jest wychowywanie ludzi kulturalnych", to należy postawić kropkę nad „i" i powiedzieć wyraźnie, o jaką kulturę tu chodzi. Jeżeli celem naszym jest nawiązanie zerwanej brutalnie przez reżym nici z odgłębnym nurtem kultury polskiej, to nie powinniśmy zapominać, że kultura ta wyrosła na łacińskiej glebie i tym samym tylko na tej pożywce może odzyskać z powrotem własne oblicze. Może po latach będziemy mogli ponownie dyskutować o korzyściach, czy stronach ujemnych łaciny w szkole średniej — choć i wtedy nie wolno nam będzie zapomnieć o słowach ostrzeżenia, które padły ze Stolicy Apostolskiej. Jednak z chwilą powrotu do kraju sprawa łaciny stanie się nie tyle problemem jej „praktyczności", czy też „niepraktyczności", ile zagadnieniem zasadniczym, czy kultura polska ma powrócić do swej przeczystej krynicy, czy też pójść torami racjonalizmu i materializmu, którego ujemne skutki tak dotkliwie na własnej odczuliśmy skórze.

Mówiąc powyżej o matematyce, miałem na myśli ową zwartą, logicznie powiązaną, na gruntownych fundamentach oparta dyscyplinę, jakiej nauczano w szkole galicyjskiej, a nie ową przesadnie rozbudowaną, a tym samym powierzchowną i rozwichrzoną matematykę współczesnej szkoły angielskiej, czy — w mniejszym co prawda stopniu — przedwojennej szkoły polskiej.

POZYTYWIZM CZY ROMANTYZM

Jeżeli polska szkoła średnia ma być ową potężną kuźnią, w której wykuwać się będzie młode pokolenie odrodzonej Polski, ożywione szczytna misją prostowania jej ścieżek kulturalnych, to obok wyżej wspomnianych przedmiotów, silny nacisk położyć należy na naukę historii i na literaturę polską. Obecna poza spóźnionego pozytywizmu, tak charakterystyczna dla każdej epoki klęskowej i tak wyraźną przewijająca się nicią w polskiej prasie emigracyjnej, odżegnywuje się co prawda od tej literatury, jako od trucizny szaleństwa i „romantyzmu". Jaskrawym przykładem jest tu W. A. Zbyszewski, który — w cytowanym artykule — pisze: „ale czy można wychować ludzi trzeźwych, rozsadnych, na dziełach dziwacznych, jak III część „Dziadów", „Anhelli", czy „Wzywolenie".

Sadzę, że ostatnia lekcja czeska mogła nas nauczyć, jak często „trzeźwość" jest najgorszym szaleństwem. Nie zapominajmy, że gdyby nie polski „romantyzm" i umiłowanie ideału wbrew materialnym korzyściom, naród polski dawno już by był wymazany z karty Europy.

A zresztą, czy istnieje bardziej „szaleńcza", bardziej pozbawiona zimnej „trzeźwości" literatura niż Pismo Świete? A jednak o ileż bardziej życiowi są szaleńcy Boży, niż „trzeźwi" materialiści i o ileż doskonalej wiodą ludzkość ku jej właściwemu celowi!

Właśnie pokoleniu Polaków wychowanych na „trzeźwej", zabijającej wszelki polot nauce sowieckiej, należy przeciwstawić tak przemawiająca do polskiej duszy „atawistycznie skłonnej „do... emocji do zapału" literaturę naszych wieszczów i jakżeż trzeźwego w swych wysokich poetyckich wzlotach Wyspiańskiego.

Jak już wspomniałem, szkoła średnia ma być pepinierą polskiej inteligencji w odrodzonej Polsce. Tym samym, wbrew temu co propaguje W. A. Zbyszewski, który by chciał, by dostępna była dla nielicznej tylko elity, musi ona mieć szeroko otwarte wrota, aby jak najszersze zastępy młodzieży mogły pod jej natchnieniem wnieść w masy polskie ożywczy strumień polskiej i katolickiej kultury.

Jak zaznaczyliśmy poprzednio, ani szkoła francuska, ani angielska nie mogą być wzorem dla szkoły polskiej w jej zakresie programowym. Sa jednak i w szkolnictwie angielskim elementy godne naśladowania.

Jest to w pierwszym rzędzie jej niewątpliwie zdrowy i słuszny nacisk na wychowanie fizyczne i na wyrobienie ducha prawdziwie sportowego, jakżeż odmiennego od tego, który spotykaliśmy, niestety tak często, na polskich boiskach. Nauczenie tego, co Anglik nazywa „fair play", wstręt do wszelkiego nabierania, szacunek dla przeciwnika, oto cechy, które usilnie wpaja się w młodzież w szkole angielskiej i które niewątpliwie godne są wprowadzenia i do szkoły naszej.

WYCHOWAWCZA ROLA SZKOŁY

Drugą, niepomiernie ważną nauką, jaką z niej możemy zaczerpnąć, to zrozumienie, że szkoła nie tylko uczy, ale w pierwszym rzędzie wychowuje. Pod tym względem polskie szkolnictwo przedwojenne ma sobie nie jedno do wyrzucenia. Ktokolwiek miał sposobność obserwować np. szkoły polskie w Palestynie, czy w Egipcie, mógł ze smutkiem zauważyć, że wychowanie w szkołach męskich, a zwłaszcza żeńskich, stało na najniższym poziomie. Nie mówiąc już o tym, że powierzono wychowanie wrażliwych dusz młodzieży podoficerom zawodowym, którzy do zadania tego chyba najmniej są odpowiedni, obserwowaliśmy tam zbyt często gorszące przykłady życia osobistego nauczycieli, brak wszelkiej opieki nad młodzieżą w godzinach poza nauką, nawet brak zainteresowania, jak ona czas wolny spędza (co zwłaszcza w szkołach dziewcząt przyjmowało nieraz wręcz skandaliczne formy). Wszystko to świadczyło o tym, że kierownictwo tych szkół nie tylko problemu wychowania nie przemyślało, ale nawet o jego istnieniu zdawało się nie wiedzieć.

Trudno tu analizować przyczyny. Faktem jest jednak, że sprawą wychowania stała w naszych szkołach na ogół źle i że w przyszłości — wobec konieczności prostowania dusz młodzieży i usunięcia skutków tak wszechwładnie w sowieckim systemie panującego chamstwa — będziemy musieli sprawie tej pilną poświęcić uwagę.

Pamiętajmy bowiem, że „chrześcijańskie wychowanie obejmuje cały zakres ludzkiego życia, fizycznego i duchowego, intelektualnego i moralnego, indywidualnego, rodzinnego i społecznego, nie żeby je w jakikolwiek sposób pomniejszyć, ale żeby je podnieść, nim pokierować i udoskonalić według przykładu i nauki Chrystusa". (...) „boć prawdziwy charakter stanowi nie jakakolwiek zwartość i stałość postępowania wedle subiektywnych zasad, ale jedynie wytrwałość w trzymaniu się odwiecznych zasad sprawiedliwości". (Encyklika „Divini Illius Magistri").

SZKOŁA OTWARTA — CZY ZAMKNIĘTA?

Z zadaniem wychowawczym szkoły łączy się pytanie następne: czy zasadniczym typem szkoły ma być szkoła dochodząca, czy też internatowa?

Pytanie to jest dość trudne do rozstrzygnięcia, z jednej bowiem strony internat niewątpliwie w bardzo silnym stopniu zwiększa wychowawczy wpływ szkoły, z drugiej jednak w tym samym stopniu zmniejsza on wpływ wychowawczy domu rodzicielskiego. Trudno by mi tu było zgodzić się ze skrajnym poglądem W. A. Zbyszewskiego, który — z dziwną u pisarzy jednostronnością — pisze: „jestem przekonany, że dla dzieci pozostawanie w domu w wieku 12 — 18 lat, pod opieką matek, czy nawet babek, jest niezdrowe, niepedagogiczne, rozwija słabość charakteru, kobiecość, niezaradność, brak dyscypliny".

Przyjęcie bowiem jako zasady, popieranego przez wszystkie systemy totalistyczne, oderwania dziecka w pewnym wieku od domu, jest niewątpliwie sprzeczne z nauką Kościoła. Jak bowiem podkreśla Encyklika „Divini Illius Magistri", powołując się na słowa Doktora Anielskiego: „byłoby przeciwne przyrodzonemu prawu, gdyby dziecko, nim dojdzie do używania rozumu, wydarte było spod opieki rodziców, albo gdyby bez ich zgody cokolwiek było o nim postanowione". A więc „normalnie naiskuteczniejsze i najtrwalsze wychowanie jest to, które się otrzymuje w dobrze urządzonej i karnej rodzinie chrześcijańskiej".

Toteż tam wszędzie, gdzie rodzina do tego dorosła i gdzie ma ona po temu faktyczną możność, podstawą wychowania powinien być dom rodzicielski a szkoła spełniać winna rolę jedynie dodatkową, w ścisłej współpracy z rodziną.

Niestety jednak w warunkach, w jakich znajdzie się Polska po wyzwoleniu, możności te będą mocno ograniczone. Szukając tej warstwy społecznej, która najmniej będzie zatruta jadem sowieckim, a więc która będzie dawała największe szanse szybkiego dojścia do pełnego zdrowia duchowego, będziemy musieli oczy swe zwrócić w pierwszym rzędzie na młodzież wiejską i wśród niej głównie (choć oczywiście nie jedynie) szukać kadr przyszłej polskiej inteligencji, która w ten sposób, odrodzona — jak Anteusz — przez kontakt z matką ziemią, zdoła skierować łódź polskiej kultury ku jej ożywczym źródłom.

I tu również nie chciałbym, aby ktoś mnie posądził, że źle myślę o polskiej młodzieży niejskiej. Prosta jednak obserwacja Rosji Sowieckiej wykazuje, że wpojenie w młodzież materializmu sowieckiego udało się bolszewikom znacznie bardziej w miastach, gdzie ujęcie jej w karby systemu jest łatwiejsze, niż na wsi. Przy przenoszeniu tego doświadczenia na Polskę, nie należy, rzecz prosta, zapominać o nieporównanie większej odporności duchowej Polaków, niż Rosjan. Tym nie mniej obawiać się należy, że warunki zewnętrzne i przemoc reżymu o wiele więcej zła pozostawią w miastach, niż na wsi. Obym był fałszywym prorokiem!

Jakkolwiek by jednak było, nie ulega wątpliwości, że dla wychowania zdrowej warstwy polskiej inteligencji konieczne będzie czerpanie jej spośród młodzieży wiejskiej w znacznie większym stopniu, niż miało to miejsce w Polsce przed wojną. Stworzy to jednak konieczność zapewnienia warunków egzystencji i nauki tej młodzieży. Bez względu więc, czy przyszłe szkoły średnie mieścić się będą w miastach, czy też — jak znakomita ilość szkół angielskich — poza nimi (co niewątpliwie z punktu widzenia nauki jest rozwiązaniem znacznie korzystniejszym), konieczne będzie zapewnienie tej młodzieży mieszkań i utrzymania. A w tych warunkach szkoła internatowa jest rozwiązaniem znacznie korzystniejszym, niż tradycyjny u nas system stancyj, zatruwający młodzież moralnie i fizycznie.

Brak tradycji w tym kierunku pozwala nam szukać rozwiązania problemu szkoły internatowej bez jakichkolwiek przesłanek wiążących. Szukając wzoru u obcych, wydaje mi się, że nie możemy znaleźć przykładu lepszego, niż angielska „boarding school" w jej katolickim wydaniu, utrzymywana i prowadzona przez klasztory. Wysoki poziom nauki w tych szkołach, znakomite wychowanie, jakie młodzież w nich otrzymuje, wielki szacunek, jakim szkoła ta cieszy się w społeczeństwie angielskim i to nie tylko katolickim, są najlepszym dowodem trafności tego rozwiązania. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by zastosować je w polskich warunkach. Niedawno miałem w ręku oficjalny dokument angielskiego ministerstwa oświaty, bynajmniej przecież nie podejrzanego o specjalne sprzyjanie katolicyzmowi, w którym „tradycyjnie wysoki poziom szkół jezuickich" został wyraźnie i stanowczo podkreślony.

Istnieje u nas, co prawda, pewne uprzedzenie do szkół zakonnych, wynikłe częściowo z dość jednostronnego spojrzenia na przeszłość historyczną z drugiej zaś ze specyficzności środowiska uczniowskiego w niektórych szkołach przed wojną. Sadzę jednak, że przykład angielski może rozproszyć te obawy i wskazać nam właściwą drogę.

ZADANIA SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Pisząc o szkolnictwie wyższym, należy znów rozpocząć od pytania podstawowego, jakie zadania ma ono do spełnienia. I tu znów poglądy mocno są rozbieżne. Jedni, np. Lord Lindsey of Birker w niedawnej dyskusji radiowej urządzonej przez BBC i zreferowanej w nrze 28 ŻYCIA, uważają za główne zadanie uniwersytetów nauczać samodzielnego myślenia i samodzielnej pracy naukowej. Inni, jak znany sympatyk i propagator bolszewizmu na terenie Anglii, prof. Blackett, sądzą, że głównym zadaniem szkoły wyższej jest przygotowanie studenta do zawodu. Ten sam pogląd głosi również i W. A. Zbyszewski, twierdząc, że „szkolnictwo wyższe powinno być również w dużej części „zawodowa" freblówką dla przygotowania fachowców". Ta zaiste przedziwna zgodność ludzi o tak zasadniczo sprzecznych podstawach ideowych jest jaskrawym dowodem, jak wiele miazmatów nosi w sobie kulturalna atmosfera Zachodu, zatruta od wieków racjonalizmem (którego najbardziej antyhumanistyczne tendencje bolszewizm chciwie w siebie wchłonął) i jak często przyswajamy je sobie, nie domyślając się nawet ani ich istotnego podłoża, ani też ich zabójczych konsekwencji.

Z tych dwu sprzecznych poglądów niewątpliwie słuszność jest po stronie pierwszego. Najwyższy już czas, by odrzucić ten materialistyczny pogląd, że szkolnictwo, to tylko fabryka „speców" potrzebnych dla życia praktycznego, to jakaś mechaniczna prasa wytłaczająca masowo zubożałe duchowo typy ciasnych fachowców i by wrócić do jasnych wzorów średniowiecza i pierwszych lat Odrodzenia, kiedy to uniwersytet był naprawdę Alma Mater, źródłem wiedzy. Powinniśmy zrozumieć, że i dziś, jak słusznie podkreśla Sir Walter Moberley, (w tejże dyskusji), uniwersytet, to najdoskonalsze środowisko, w którym rodzą się, krzewią i ścierają ze sobą podstawowe idee, nurtujące ludzkość danej epoki i danego kraju.

UPOWSZECHNIENIE WYŻSZEGO WYKSZTAŁCENIA

Ten więc — tak twórczy — udział uniwersytetów w dziele kultury pociąga za sobą konieczność nie zacieśniania go, jak to się nieraz słyszy, do drobnej tylko elity, lecz na odwrót, do jak najszerszego otwarcia szkół wyższych dla łaknącej wiedzy młodzieży. W takiej np. Finlandii w latach przed drugą wojną światową, na uniwersytetach było wielu synów farmerów, którzy po ukończeniu studiów wracali na rolę. Nie ulega wątpliwości, że wysoki poziom wyrobienia społeczeństwa fińskiego był jednym z następstw tego szerokiego rozpowszechnienia wyższego wykształcenia.

Można by powiedzieć, że na tę „rozrzutność" pozwolić sobie mogą jedynie społeczeństwa bardzo bogate. Sprzeciwiłbym się temu. Społeczeństwo, którego jedynym celem jest „bogactwo", na pewno nie pozwoli sobie na takie „marnowanie czasu" młodzieży na „bezużyteczne" studia. Społeczeństwo, które chce być silne duchowo, sprawie wysokiego poziomu umysłowego swej młodzieży znacznie więcej poświęci uwagi i czasu, gdyż wie, że dobra duchowe, to skarb jedyny, którego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali.

DUCH RELIGIJNY

Jeżeli jednak uniwersytet ma być istotnie kuźnicą kultury narodowej, to w pierwszym rzędzie cechować go musi silny duch religijny.

„Jeśli tego braknie, jeśli to święte tchnienie nie będzie przenikać i rozgrzewać dusz nauczycieli i uczniów, bardzo mały pożytek będzie można zebrać z jakiejkolwiek nauki; przeciwnie, często wynikną z tego szkody, i to niemałe" poucza Encyklika „Divini Illius Magistri".

Jest to rzeczą charakterystyczną, że ten sam pogląd wysuwa i w Anglii wspomniany wyżej Sir Walter Moberley, żądając również odrodzenia życia religijnego w wyższych uczelniach.

Ów podkreślony poprzednio ogólno-kulturalny charakter uniwersytetu skłaniać musi do unikania i tu przesadnej specjalizacji, szkodliwej zresztą i z punktu widzenia życia praktycznego, skoro n.p. szybki rozwój nauk technicznych powoduje, że wąski specjalista, pozbawiony gruntownych podstaw, staje się po kilkunastu latach zabytkiem archeologicznym, zupełnie nie rozumiejącym nowych kierunków i gałęzi jego własnej dziedziny.

Toteż postulaty Sir Waltera Moberley'a, aby znaleźć wspólny język między naukami humanistycznymi, a przyrodniczo-matematycznymi na uniwersytecie, oraz lorda Lindsey of Birker, by wprowadzić na wyższych uczelniach kurs humanistyczny, obowiązkowy dla wszystkich wydziałów, choćby kosztem przedłużenia okresu studiów, zasługuje na szerokie uwzględnienie na polskich uniwersytetach po ich uwolnieniu od okupacji sowieckiej.

W zakresie organizacji nauki bardzo wiele możemy się nauczyć od uniwersytetów angielskich. Ich doskonały system ujmowania pracy studentów w ścisłe ramy i nadzoru nad nią istotnie bardzo odbija od przesadnej pod tym względem swobody na polskich uniwersytetach, która zbyt często przechodziła w samowolę i chaos.

GRANICE WOLNOŚCI NAUKI

Jest jeszcze jeden punkt, który niewątpliwie wzbudzi wiele sprzeciwów: oto należało by w pewnej mierze ograniczyć na naszych uniwersytetach wybujałą do karykatury „wolność nauczania".

Cenne wytyczne daje w tym kierunku Encyklika „Divini Illius Magistri":

„Ta zasada słusznej wolności naukowej*) jest zarazem nienaruszalną normą słusznej wolności dydaktycznej, czyli właściwie pojętej wolności nauczania, i powinna być przestrzegana we wszelkim udzielaniu wiedzy innym, a zwłaszcza — jako obowiązek szczególnej sprawiedliwości — w nauczaniu młodzieży, a to dlatego, że w stosunku do niej każdy nauczyciel, rzadowy, czy prywatny, nie ma bezwzględnego prawa wychowawczego, ale udzielone; oraz dlatego, że każde dziecko, czy też młodzieniec chrześcijański, ma słuszne prawo do pobierania nauki zgodnej z nauką Kościoła tej kolumny i utwierdzenia Prawdy, i ciężką krzywdę wyrządziłby mu każdy, kto zachwiałby jego wiarę, nadużywając zaufania młodzieży względem nauczycieli i jej naturalnego braku doświadczenia i lekkomyślnej skłonności do absolutnej, zwodniczej i fałszywej wolności".

Takie postawienie sprawy wywoła niewątpliwie wiele sprzeciwów ze strony naszych pięknoduchów i „wolnomyślicieli", którzy będą widzieli tu chęć obniżenia poziomu nauki i nawrotu do „średniowiecznego obskurantyzmu".

Nie wchodząc w dyskusję na temat średniowiecza, na które nauka patrzy już dziś zupełnie odmiennymi oczyma, należy stwierdzić, iż nie ma nic bardziej fałszywego, niż oskarżanie nauki katolickiej o zacofanie. Wprost przeciwnie, jest to dziś nauka najbardziej dynamiczna i pełna najwyższych wzlotów. Wystarczy zainteresować się choćby polskim piśmiennictwem katolickim w kraju i — mimo skrępowania — niesłychanie wysokim poziomem jego dyskusji na tematy filozoficzne, społeczne, historyczne, literackie, przyrodnicze wreszcie, aby zrozumieć jak głęboki jest to nurt naukowy.

Raczej na odwrót: ruch antyreligijny można dziś oskarżać o zacofanie i nieuctwo. Charakterystycznym tego przykładem była dyskusja, jaka rozwinęła się na łamach prasy angielskiej w wyniku niefortunnego wystąpienia przeciw religii w odczycie radiowym znakomitego fizyka, ale zupełnego ignoranta w sprawach wiary, Fred Hoyle'a. Miarą poziomu tej debaty był — przez redakcję „Listener'a" poważnie potraktowany — list jakiegoś jegomościa, który udowadniał że kto recytuje w „Credo" „zstąpił do piekieł" i „wstąpił na niebiosa", tym samym twierdzi, że ziemia jest płaska!

Nie ma więc dziś większego obskurantyzmu, jak oskarżanie nauki katolickiej o „obskurantyzm".

Nie lękając się zarzutów ludzi, którzy żyją w wieku minionym, będziemy musieli pilnie baczyć, aby pod pozorem „wolności nauki" nie legły się czerwie nauk wrogich Bogu i aby wolność nauczania nie przemieniła się w swobodę zatruwania dusz młodzieży.

Tadeusz Felsztyn

*) **że nauka nie powinna przekraczać właściwych sobie granic, ani też zajmować miejsca, jakie się należy wierze, jak to podaje poprzednio cytowany ustęp Encykliki (przyp. aut.).**

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Aresztowanie czterech biskupów na Węgrzech. Ze źródła uchodźców węgierskich uzyskano w Wiedniu ostatnio potwierdzenie, że komunistyczny reżym na Węgrzech aresztował, już po wyroku na arcybiskupa Józefa Grösza, czterech biskupów katolickich. Są nimi biskupi: Andrzej Hamvas z Csanad, który jest także administratorem apostolskim diecezji Esztergom, Józef Petery z Vac, Bartłomiej Badalik z Veszprem i Ludwik Shvoy z Szekesfehervar. Pozostają jeszcze na wolności: arcybiskup Juliusz Czapik z Eger, nowy przewodniczący Episkopatu, oraz biskupi: Franciszek Virag z Pecs, Aleksander Kovacs z Szombathely, Coloman Papp z Gyoer i Mikołaj Duda, biskup obrządku wschodniego z Hajdudorog.

Komunistyczna prasa węgierska wciąż jeszcze nie ogłosiła rzekomej deklaracji lojalności, przypisywanej przez reżym biskupowi Hamvasowi i nadanej przez radio budapeszteńskie. Aresztowanie biskupa Hamvasa świadczyłoby o tym, że „deklaracja lojalności" była wymysłem komunistów.

W dniu 4 lipca oficjalna węgierska agencja prasowa ogłosiła nową deklarację lojalności, tym razem nazwana „deklaracją episkopatu węgierskiego", która rzekomo potępia duchownych za „ostatnio ujawnione grzeszne poczynania". Deklaracja miała być uchwalona przez Episkopat pod przewodnictwem arcybiskupa Czapika. Inne źródła, poza komunistycznymi, nie potwierdzają faktu wydania tej deklaracji.

89 biskupstw opróżnionych. W krajach opanowanych przez komunistów 89 biskupstw jest nieobsadzonych, już to z powodu zgonów już to morderstw aresztowań lub wygnania dostojników Kościoła. Z tej cyfry na Europę przypada 64, na Chiny 21, a na Koreę 4 biskupstwa.

W krajach opanowanych przez komunistów żyje przeszło 50 milionów katolików.

W Izbie Reprezentantów przeciw aresztowaniu arcybiskupa. — Kongresman Jacob K. Javits, republikanin z Nowego Jorku, członek komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, wniósł w dniu 13 lipca projekt rezolucji protestującej przeciwko aresztowaniu i skazaniu arcybiskupa Józefa Grösza w Budapeszcie. W ubiegłym roku poseł Javits wniósł podobny projekt rezolucji w sprawie ks kardynała Józefa Mindszenty i poświęca wiele wysiłków w kierunku uzyskania jego zwolnienia.

Socjalizm i katolicyzm. I. B. Duroselle przedstawia dzieje zgody i niezgody ruchu socjalistycznego z katolicyzmem. Tom nosi tytuł „Les Debuts du Catholicisme social".

Gubernator Marokka. Ukazała się książka o marszałku Lyautey, pióra Jean Mancière'a. Jak wiadomo marszałek Lyautey należy do najbardziej dla Francji zasłużonych żołnierzy w Afryce. Był to człowiek nie tylko ogromnej energii, ale i tak gwałtownych gniewów, że w jego paroksyzmach przychodził mu z pomocą adjutant. Lyautey, wpadłszy w gniew, rzucał na ziemię swoje kepi i tratował je obcasami. W chwili później jego adjutant podawał mu drugie kepi, które zawsze miał przy sobie na wszelki wypadek.

FILM

PIĘĆ FILMÓW I „CMENTARZYK"

Jeden z moich przyjaciół —kinoman i krytyk filmowy — ostatnią moją recenzję, obejmującą dziesięć pozycji, nazwał żartobliwie „cmentarzem filmów". Ponieważ w każdym żarcie jest odrobina prawdy, przemyślałem raz jeszcze problem i zmieniłem nieco metodę klasyfikacji i oceny filmów, obejrzanych w ostatnim okresie sprawozdawczym. Z ogólnej liczby wchodzących w rachubę obrazów wybrałem siedem przeciętnych, nie dających okazji ani do głębszych przeżyć, ani do ciekawszych rozważań i te zakwalifikowałem — co prawda nie dosłownie na cmentarz, ale do skromnych szufladek rejestracyjno-archiwalnych, które Anglicy często nazywają „footnotes". Filmy natomiast wybitniejsze, to znaczy albo lepsze, albo przynajmniej ciekawsze pod względem treści, założeń, albo sposobu ujęcia, omawiam oddzielnie, rozważając je — gdzie się da — pod kątem estetyki i problematyki filmu artystycznego.

*

Nie jestem amerykanofilem, nie mam chęci jechać do Stanów Zjednoczonych i przewiduję w niedalekiej przyszłości konieczność stworzenia jakiejś unii europejskiej, mającej na celu obronę przed amerykańską „kulturą". Mimo to przyznaję chętnie, że naród amerykański ma wielkie zalety zupełnie nieznane na czerwonym Wschodzie i tylko w małym stopniu na europejskim Zachodzie. Do nich należy wspaniała zdolność do samokrytyki. Pokażcie mi film brytyjski, miażdżący angielską obłudę, brak polotu, tępotę i przyziemność albo demaskujący ukryty brytyjski izolacjonizm, lub tryskający wszystkimi porami, ale perfidnie przemilczany szowinizm. Nie przypominam sobie takiego filmu, choć tuzinami mógłbym wyliczać obrazy sławiące angielską dzielność, rzekomy humanitaryzm, brytyjskie osiągnięcia, ba, nawet tutejsze psy („Lassie"). Natomiast filmów amerykańskich, wypalających żarem satyry wady ogólnoludzkie, narodowe, a także przerosty zapatrzonej w dolara cywilizacji — jest legion. Pojawiają się stale wypuszczane przez różne wytwórnie, kręcone przez różnych reżyserów.

Do najwybitniejszych z nich należy niewątpliwie Billy Wilder, twórca „Double Indemnity", „The Lost Week-end" i „Sunset Boulevard", artysta polujący na człowieka i jego grzechy, by pokazać je milionom na kinowych ekranach. Ostatni jego obraz — **„Ace in the Hole"** — mimo pewnych wad, jest dziełem wybitnym i porywającym. Tym razem Wilder wziął pod lupę sensację amerykańską. Bohaterem filmu jest wytracony z obiegu dziennikarz nowojorski (Kirk Douglas), który na zapadłej prowincji chwyta pierwszą okazję, aby się „odkuć" i powrócić w glorii do klasy najlepiej płatnych reporterów. Okazją ta jest szary człowiek, górnik zasypany w starej kopalni Nowego Meksyku. Z tej drugorzędnej sensacji Douglas postanawia uczynić pomost dla swej kariery. Choć ekipa ratownicza jest zdolna odgrzebać górnika (Richard Benedict) w ciągu kilkunastu godzin, reporter namawia miejscowego szeryfa do zastosowania powolniejszych metod, co umożliwi mu rozdmuchanie całej historii przy zachowaniu wyłączności kluczowych informacji (która zabezpiecza sobie z narażeniem życia, docierając do zasypanego i odwiedzając go w regularnych odstępach czasu). Szeryf godzi się, gdyż reklama w prasie zwiększy znakomicie jego szanse przy nadchodzących wyborach. Plan Douglasa udaje się... z małą poprawką. Zapadła dziura prowincjonalna zapełnia się tysiącznymi tłumami ciekawych, reporterów prasowych i radiowych przekupniami i handlarzami wszelkich rozrywek; Douglas zostaje zaangażowany do jednego z największych dzienników nowojorskich z bajeczną płacą 1000 dolarów dziennie; żona zasypanego człowieka robi świetne interesy w swej zaniedbanej dotąd oberży. Ale górnik umiera, nie doczekawszy się przebicia skały mechanicznymi świdrami, których użyto w ten sposób, by przedłużyć akcję do kilku dni.

Do tego miejsca film jest bezbłędny i potężny w wyrazie. Dalej następuje załamanie, najprawdopodobniej spowodowane wymaganiami cenzury. Próba częściowego nawrócenia zbrodniczego dziennikarza i jego półrehabilitacja wypadły blado i nieprzekonywająco. W całości jednak „Ace in the Hole" jest bezlitosnym cieciem obnażającym jeden z najohydniejszych wrzodów współczesnej cywilizacji, a zwłaszcza amerykanizmu: cyniczną, nie licząca się z niczym sensację dziennikarską i egoizm pośredników, dostarczających motłochowi niezdrowych dreszczów. Reżyseria, tempo, fotografia i gra postaci drugoplanowych — nie budzą prawie żadnych zastrzeżeń.

*

Rad jestem, że mogę tym razem sprezentować czytelnikom jeszcze jeden piękny film z problemem i to — po raz pierwszy na tych łamach — dzieło kinematografii szwajcarskiej. Mam na myśli **„Four in a Jeep"** reżysera Leopolda Lindtberga (scenariusz Richarda Schweitzera). Rodowód tego dzieła zdaje się sięgać „Trzeciego człowieka" Greene'a i Reeda. Świetny Greenowski epizod z wiedeńskim patrolem międzynarodowym, utrzymującym porządek (a raczej nieporządek i chaos) w centrum okupowanego przez cztery mocarstwa Wiednia, rozbudowano tu świadomie i inteligentnie do rozmiarów filmu pełnometrażowego, problemem centralnym czyniąc porywanie ludzi przez Rosjan oraz beznadziejne próby zgodnego współdziałania przedstawicieli mocarstw zachodnich z bolszewikami. W odróżnieniu od antyrosyjskich filmów amerykańskich, Szwajcarzy nie poszli na płytkie uproszczenia. Pokazany w filmie podoficer rosyjski (świetna kreacja Józefa Yadina) nie jest bynajmniej wybity sztancą jakiegoś urzędu propagandy. Mamy tu żywego człowieka, może nawet niezłego w życiu zupełnie prywatnym, ale rozdwojonego i ślepo posłusznego otrzymywanym rozkazom. Świetne studium mentalności sowieckiej i ludów ujarzmionych zza żelaznej kurtyny. Role członków patrolu międzynarodowego zagrali doskonale: Amerykanina —Ralph Meeker, Brytyjczyka— Michael Medwin, Francuza — Marcel Pasture. Austryjaczką, na której męża Rosjanie urządzają polowanie, jest piękna, o wyrazistej twarzy Viveca Lindfords (cokolwiek zbyt teatralna), a jej małżonkiem Hans Putz. Świetna reżyseria, ciekawe ironiczne i humorystyczne sekwencje (para francuskich aktorów), doskonała fotografia — czynią ten ważki film dziełem sztuki. Ale mamy tu jeszcze coś więcej.

W wyniku szeregu eksperymentów (np. „Ultima speranza") i niezależnie od Włochów („Donne senza nome") starają się tu Szwajcarzy rozwiązać problem zrozumiałości strony mówionej filmu dla jak największych rzesz międzynarodowej publiczności: Za punkt wyjścia przyjęto — chyba dość słusznie — założenie, że bardzo wielu ludzi oprócz języka ojczystego rozumie t r o c h ę po angielsku. Poza tym zastosowano w „Four in a Jeep" realizm językowy: Austriacy mówią po niemiecku, czasem trochę po angielsku (prostymi wyrazami), Rosjanin zna tylko strzępy angielszczyzny, żona sierżanta francuskiego używa wyłącznie swego języka ojczystego. Wreszcie dialogi zredagowano i zsynchronizowano z akcją w ten sposób, że niezrozumienie poszczególnych słów, czy nawet kilku zdań nie utrudnia śledzenia fabuły. Osiągnięty rezultat jest bardzo obiecujący: wydaje się, że film jest zrozumiały dla znacznie większej liczby Europejczyków, niż przeciętny obraz amerykański czy brytyjski.

*

Amerykańsko-brytyjska kolorowa komedia muzyczna **„Happy Go Lovely"** jest pięknym przykładem owocnej współpracy Anglosasów z obu stron Atlantyku: reżyserowi B. Hamberstone (Amerykanin) i dyrektorowi M. Helmanowi — przy pomocy muzyka M. Spoliańskiego i takich gwiazd jak tancerka Vera Ellen, komik David Niven oraz Cesar Romero — udało się nie tylko stworzyć bardzo dobry wieczór tańca, lekkiej muzyki i piosenek; osiągnięto dużo więcej: dzięki zręcznemu i dowcipnemu scenariuszowi Val Guesta „Happy Go Lovely" jest w pełnym tego słowa znaczeniu k o m e d i ą muzyczną, posiadającą własną, sytuacyjną i werbalną vis comica. Jest to rzecz bardzo rzadka, gdyż — jak to nieraz pisałem — przeciętny „musical" anglosaski, to przeważnie zbiór lepszych lub gorszych numerów tanecznych i piosenek, powiązanych niedbale bzdurnymi pozorami akcji. Tu przeciwnie: bardzo przyjemne piosenki i ciekawe, świetnie wykonane ewolucje taneczne trzymają się silnie mocnego szkieletu komedii, która bawiłaby publiczność, gdyby nawet ukryto za kulisami elementy muzyczne i taneczne. Zdjęcia kolorowe udane. W sumie — film artystyczny wysokiej klasy.

*

Zupełnie innego rodzaju komedia jest produkt „Ealing Studios" **„The Lavender Hill Mob"** z parą sławnych angielskich aktorów — Alec Guinessen i Stanley Holloway'em (reżyser Ch. Crichton, scenariusz T. Clarke). Nie ulega kwestii, że historia skromnego urzędnika bankowego, który po kilkunastu latach uczciwej pracy, polegającej na nadzorowaniu przesyłek sztab złota, postanawia przywłaszczyć sobie ostatni (przed przeniesieniem na inne stanowisko) transport — jest zabawna, a gra obu wirtuozów angielskiego humoru nie tylko bezbłędna, ale wprost fascynująca poziomem artystycznego rzemiosła. Nie wątpię, że rozrzucone w filmie perły śmiechu są prawdziwymi klejnotami. A jednak czegoś brakuje w tym filmie. Mniejsza z tym, że jest on mniej zabawny od poprzednich osiągnięć komediowych „Ealing Studios" — jak „Kind Hearts and Coronets", „Passport to Pimlico", czy „Whisky Galore". Chodzi tu o coś innego: o płaskość samego wątku, o prześlizgnięcia się nad problemem, który nawet w konwencji czysto komediowej mógłby być ciekawie postawiony. Fakt, że „uczciwy" urzędnik bankowy całe lata pożąda cudzego złota i kradnie je w sposób wyrafinowany, gdy tylko ma szanse uniknięcia kary, przyjęto w filmie za rzecz oczywistą. Nie pokazano ani jednego drgnienia wątpliwości lub wyrzutów sumienia u żadnego z członków z czteroosobowej szajki. Wskutek tego nad całym dziełem unosi się atmosfera jakiegoś **moral insanity**, choć — jak zwykle w filmach purytańskich — ostatecznie przestępcy dostają się w ręce sprawiedliwości. Ubóstwo etyczne i myślowe „The Lavender Hill Mob" i niekonsekwencja konwencji (komedia? farsa? nieudolna próba moralitetu?) nasuwają poważne wątpliwości, czy obraz ten można zaliczyć do dzieł sztuki filmowej.

*

Kolorowy **„Bird of Paradise"** wytwórni 20th Century Fox, mimo wielu wad i drażniących, konwencjonalnych uproszczeń, zasługuje na uwagę z jednego, zasadniczego powodu. Oto film ten przedstawia widzowi strzęp rzeczywistości, której nie moglibyśmy poznać szybko i wszechstronnie przy pomocy żadnego innego medium — jak literatura, malarstwo czy muzyka. Jednym słowem jest to film egzotyczny, ilustrujący obrazami, tańcami, muzyką i słowem życie mieszkańców jednej z wysp Polinezji. Choć podejrzewam, że — wbrew zapewnieniu producentów — część zdjęć została dokonana w studio (szaleńczo kolorowe i grzmiące wybuchy wulkanu), większość materiału folklorystycznego tchnie autentyzmem, dając nam jakie takie pojęcie o ciekawych zwyczajach i całym życiu Malajów. Przy tych zaletach łatwo można wybaczyć niektóre przeszarżowane partie lub naiwności akcji, rozwijającej się w ten sposób, aby zahaczyć o wszystkie ważniejsze wydarzenia rodzinne i społeczne egzotycznej zbiorowości. Reżyseria D. Davesa, główne role zagrali: L. Jourdan, Debra Paget, Jeff Chandler oraz autentyczny książę malajski Lei Lani.

INNE FILMY

„Operation Pacific". Film wojenny wytw. Warner Bros (z Johnem Wayne w roli głównej), sławiący cichą, ale odpowiedzialną pracę amerykańskich łodzi podwodnych. Sekwencje wojenne bardzo interesujące i pełne napięcia, ale źle powiązane z wplecionym dla zrobienia kasy, dość zawiłym romansem. Amantka: Patricia Neal, ponadto Ward Bond, Philip Carey i in. Reżyser: George Waggner.

„Up Front". Dość zabawna komedia wytwórni Universal International o przygodach dwóch amerykańskich Szwejków na froncie włoskim (David Wayne i Tom Ewell). Nieźle oddaje dobrze znane Polakom nastroje kampanii włoskiej, a zwłaszcza antagonizm między frontem a tyłami walczącej armii. Głównie humor sytuacyjny, choć tu i ówdzie zdołano odsłonić psychologię żołnierza. Reżyser: A. Hall.

„Hotel Sahara". Brytyjski film festiwalowy wytwórni Tower Films. Bardzo angielska komedia, nakręcona wyłącznie w studio, udającym pustynię i hotel arabski, rekwirowany kolejno przez wojska włoskie, niemieckie, francuskie i angielskie. Gdy wreszcie sprytny właściciel zakładu zaczyna oddychać z ulgą, sądząc, że wojna — przynajmniej dla niego —jest nareszcie skończona, niespodziewanie zjawiają się Amerykanie i zaprowadzają swoje porządki. Dzieło bez głębszych ambicji, ale całkiem zabawne, dobrze wyreżyserowane przez Ken Annakina. W rolach głównych — piękna Yvonne de Carlo, Peter Ustinov, David Tomlison. Drugoplanową rolę włoskiego oficera powierzono Polakowi G. Boruckiemu (Guido Lorraine), co powiększa atrakcyjność „Hotelu Sahara" dla publiczności polskiej.

„Fine and Dandy". Film muzyczny wytw. Warner Bros z James Cagney'em, który widocznie znudził się odtwarzanymi dotychczas w kółko rolami brutalnych gangsterów i po raz pierwszy — z dużym sukcesem — wystąpił w roli krewkiego śpiewaka i tancerza, organizującego wielką rewię kadetów z West Point. Partnerkami jego są bardzo zdolne: Virginia Mayo (tancerka) i Doris Day (śpiewaczka). Aby nie wychodzić z wprawy, Cagney wymierza tu i ówdzie potężne bokserskie ciosy, powalając sierpowym raz agenta teatralnego, to znów nie dość sprawnie ćwiczącego na próbie kadeta-amatora. W sumie znośna, choć zbyt militarna rozrywka, okraszona wstawkami tanecznymi na wysokim poziomie.

„White Corridors", (bryt. wytw. Vic Films). Filmowa przeróbka powieści Helen Ashton pt. „Yeoman's Hospital", spreparowana bardzo rzeczowo w stylu dokumentarnym, pokazująca życie szpitala brytyjskiego i ofiarną walkę lekarzy-naukowców (Googie Withers i James Donald) o życie chłopca, którego organizm nie reaguje na penicilinę. W rolach pomocniczych Moira Lister, Godfrey Tearle i in. Dobra reżyseria, szereg sekwencji o napięciu dramatycznym, zagranych z angielskim umiarem. Dzieło typowe, prawie reprezentatywne kinematografii brytyjskiej, nieco autoreklamiarskie, nie porywające, lecz godne obejrzenia. Reżyserował Pat Jackson.

„I'd Climb the Highest Montain". Młody pastor metodystyczny (William Lundingen) żeni się z Susan Hayward, aby wraz z nią paść owieczki metodystyczne w powierzonej sobie parafii. Tu usiłuje go uwieść inna kobieta, biorąc za punkt wyjścia studia nad Biblią. Film pełen pustej gadaniny, artystycznie i myślowo bezwartościowy, a ponadto nudny. Produkcja 20th Century Fox.

„Whirpool". Pseudonaukowa ramota amerykańska tej samej wytwórni na temat hypnotyzera-astrologa (Jose Ferrar), który popełnia morderstwo, stwarzając pozory winy kleptomanki (Gene Tierney). Choć tempo akcji jest żywe, film męczy i gniewa. Swoisty rekord nudy à la „Science Digest". **(sp)**

CATHOLIC COUNCIL FOR POLISH WELFARE
przy współudziale POLSKIEJ MISJI KATOLICKIEJ
pod patronatem ks. prałata W. STANISZEWSKIEGO
Wikariusza Delegata dla Polaków w Anglii i Walii
organizuje w roku bieżącym następujące

PIELGRZYMKI

1. RZYM — MONTE CASSINO — Cena £ 28.0.0
od 6 do 14 września br. — Zgłoszenia do 15 sierpnia
2. LOURDES — Cena £ 19.10.0
od 24 do 30 września — Zgłoszenia do 1 września
3. FATIMA — Cena £ 36.0.0
od 8 do 19 października — Zgłoszenia do 8 września

Bliższe informacje oraz zgłoszenia należy kierować
WYŁĄCZNIE do biura podróży:
DAVIES, TURNER & CO LTD.
4, LOWER BELGRAVE STREET, LONDON, S. W. 1.
(Koło stacji Victoria). Można pisać po polsku.
Na życzenie P.T. Klientów firma załatwia dodatkowo sprawy paszportów i wiz.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Polinezyjczycy przodkami Indian amerykańskich? Pisarz norweski Thor Heyerdahl, którego książka „The Kontiki Expedition" stała się w roku ubiegłym taką sensacją w całym świecie, napisał obecnie nową rzecz: o związkach między ludnością Polinezji a Indianami południowo-amerykańskimi. Heyerdahl zebrał wiele danych z zakresu życia i obyczajów obu tych regionów i natrafił na zdumiewające podobieństwa.

Pisze o tym w nowej swej książce, która ukaże się wkrótce w przekładzie angielskim pt. „A m e r i c a n I n d i a n s i n t h e P a c i f i c". Uzasadnia w niej tezę, że Indianie pobrzeża zachodniego Południowej Ameryki są pochodzenia polinezyjskiego. Teza ta zresztą nie nowa, od dawna już bowiem wiadomo, że w odległej przeszłości Polinezyjczycy na swych łódkach przebywali tysiące mil morskich i zapędzali się aż na wybrzeża dzisiejszego Peru czy Chile. Z drugiej strony jednak wielu uczonych jest zdania, że cała tubylcza ludność Ameryki pochodzi od plemion azjatyckich, które 10 — 15 tys. lat temu przedostały się na kontynent amerykański poprzez Cieśninę Beringa i stamtąd zwolna posuwały się na południe. Ich potomkowie stworzyć mieli najpierw cywilizację Mayów, później zaś cywilizację Azteków meksykańskich i Inkasów w Peru.

Angielski obrońca Pétina. Zmarły marszałek Pétain miał do tej pory bardzo złą pozycję w prasie i publicystyce świata anglosaskiego. Obecnie jednak ulega to zmianie. Na jesieni roku bieżącego ukaże się nakładem londyńskiej firmy Andrew Dakers książka Sisleya Huddlestona pt. „P é t a i n : P a t r i o t o r T r a i t o r ?" Autor broni poglądu, że w warunkach, jakie istniały we Francji w latach 1939 — 1945, nie była możliwa inna polityka niż ta, jaką prowadził Pétain.

W Ameryce o książce Stypułkowskiego. Jak donosiliśmy, śmy, książka Zbigniewa Stypułkowskiego „Invitation to Moscow" pojawiła się niedawno w wydaniu amerykańskim, nakładem tej samej firmy Thames and Hudson, która wypuściła w świat wydanie brytyjskie. Odzew, jaki książka wywołała w Stanach Zjednoczonych, jest równie przychylny. Wszystkie niemal wielkie dzienniki i periodyki zamieściły już o książce obszerne, często ilustrowane, recenzje. Już w maju rb. „New York Times" w swym tygodniowym „magazynie" opublikował jeden z rozdziałów książki, zapowiadając jej bliskie ukazanie się. Po jej pojawieniu się „New York Times" ogłosił recenzję pióra znanego specjalisty od spraw rosyjskich, Harry Schwartza, autorla studium „Russia's Soviet Economy".

„Jest rzeczą nieprawdopodobną — pisze w konkluzji Schwartz —, by naród zdolny do takiego heroizmu, jaki opisuje książka Stypułkowskiego ,mógł kiedykolwiek zupełnie podporządkować się panowaniu sowieckiemu, choćby nawet maskowanemu przez obecny reżym marionetkowy".

W „New York Herald Tribune" o książce Stypułkowskiego pisze Lewis Gannett. „P. Stypułkowski — zauważa on — najwidoczniej okazał się bystrym i obrotnym prawnikiem, — równocześnie zaś człowiekiem niezwykłego fanatyzmu i wiary". Osobna recenzja, pióra Crane Brintona, profesora historii na uniwersytecie Harvard, pojawiła się w tygodniowym przeglądzie książek „New York Herald Tribune".

Dłuższe omówienie książki zamieścił znany periodyk o kilkumilionowym nakładzie „Time", nadto „San Francisco Chronicle", „Milwaukee Journal", „The Common Weal" i wiele innych pism.

V A R I A

PRZYJACIELE LITERACCY. Od dawna istnieje we Francji zwyczaj zawiązywania „koła przyjaciół" zmarłego pisarza. Bo Francuzi są rozkochani w literaturze. Te „towarzystwa przyjaciół" literackich są znakomitymi propagandami literatury, czytelnictwa w ogóle i rozpowszechniają sławę tego lub owego pisarza. Zdumiewające, że Sainte-Beuve tak długo czekał na swoje „koło przyjaciół". Nie żyje od roku 1869, a dopiero teraz zawiązało się koło jego wielbicieli w Paryżu. To opóźnienie Sainte-Beuve zawdzięcza zapewne temu, że był krytykiem! Nie lubi się krytyków. Nawet genjalnych! Co prawda, Sainte-Beuve pisał i wiersze i napisał jedną powieść. Cóż to jednak znaczy jeden tom poezji, choć są świetne, i jeden tom powieści, głębokiej i mądrej, w porównaniu z czterdziestoma tomami essayów krytycznych! Szkice literackie Sainte-Beuve'a to przeważnie arcydzieła, ciągle tak czytane jak za życia ich autora. „Stowarzyszenie przyjaciół Sainte Beuve'a" zorganizowało się wprawdzie późno, ale z „wielkim szykiem", bo posiada aż dwóch prezesów i obaj prezesi są członkami Akademii Francuskiej: Edouard Herriot i André Maurois. W Polsce nie ma, niestety, zwyczaju organizowania takich wielbicielskich stowarzyszeń. A z pewnością bardzo by się przydały dla lepszej znajomości literatury ojczystej. We Francji organizują takie „koła" nie tylko literaci, ale po prostu miłośnicy pisarstwa pięknego. Czy by nie było dobrze naśladować ten zwyczaj tu, na emigracji, i korzystając ze 150-lecia Ignacego Krasickiego, zawiązać koło przyjaciół genialnego biskupa warmińskiego? Pomyśl nad tym Czytelniku... **D. D. T.**

KIEŁBASY
Największy wybór kiełbas francusko-polskich, czeskich i holenderskich
Sprzedaż hurtowa
Przy zamówieniach od 14 lbs. osobom prywatnym liczymy ceny hurtowe.
Zapraszamy PP. hurtowników, kierowników hostelі, klubów itp. a także osoby prywatne do odwiedzenia naszych składów lub zażądania cenników.
ROYES (Brighton) Ltd., London Depot
12, CREMORNE ROAD LONDON, S.W.10, tel. FLA 2301.

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego tygodnia

RELIGIJNA SZTUKA CHRISTOPHERA FRY

Znany krytyk teatralny Harold Hobson wypowiada w „Sunday Times" pogląd, że „najważniejszą" sztuką teatralną, jaka wystawiona została w Londynie w roku bieżącym, jest „A Sleep of Prisoners" Christophera Fry; w roku ubiegłym podobną rolę odgrywała „The Cocktail Party" T. S. Eliota.

„A Sleep of Prisoners" grany jest ponownie od 31 lipca w St. Thomas's Church, Regent Street. Jest to sztuka religijna; treść jej stanowią sny czterech jeńców wojennych w zbombardowanym kościele.

Powodzenie tej sztuki, podobnie jak „Cocktail Party", Hobson uważa za przejaw wzrostu zainteresowań religijnych w społeczeństwie brytyjskim. Za przejaw analogicznych tendencyj we Francji uważa on wielki sukces, jaki zdobyła sobie nowa sztuka Sartre'a „Le diable et le bon Dieu", grana obecnie w paryskim Théâtre Antoine. Różnica polega na tym, że utwór Sartre'a ma ostrze przeciwreligijne, zdaniem Hobsona jednak zainteresowanie jakie utwór ten wywołał, dowodzi w każdym razie, że ludzie zaczynają się znów pasjonować tematami, dokoła których prześligiwali się do niedawna obojętnie.

COCTEAU GRANY W LONDYNIE

Sensacyjny utwór sceniczny Jean Cocteau „Les parents terribles" wystawiony został obecnie w Londynie w teatrze Strand w przekładzie angielskim pt. „Intimate Relations". Główną rolę kobiecą gra znana aktorka Fay Compton.

RADIOWA WERSJA „ROMANCE" CONRADA

BBC w swym „Home Service" począwszy od 27 lipca daje co niedzielę wieczór wersję filmową „Romance", powieści napisanej wspólnie przez J. Conrada-Korzeniowskiego i Forda Maddoxa Ford na początku bieżącego stulecia. Wersja filmowa tej powieści nosi tytuł „John Kemp" — jest to nazwisko głównego bohatera — i składa się z 12 części, które kolejno będą nadawane. Adaptował powieść dla radia Peter Cresswell i on też napisał artykuł o „Romance", który ukazał się w „Radio Times" z dn. 27 lipca. Jak dotąd nie ma drukowanego przekładu polskiego „Romance".

WYSTAWA OBRAZÓW TEATRALNYCH

W sali 132 Victoria and Albert Museum (South Kensington) wystawiona jest kolekcja obrazów Zoffany'ego i De Wilde'a, pochodzących ze zbiorów wybitnego pisarza angielskiego Somerseta Maughama. Są to portrety wybitnych aktorów angielskich z epoki Garricka oraz malowidła, przedstawiające ich grę w różnych utworach teatralnych.

Kolekcja ta w przyszłości umieszczona zostanie w National Theatre, będącym obecnie w stanie budowy.

„ALICJA W KRAINIE CZARÓW" NA EKRANIE

Filmowa wersja znanej powieści fantastycznej L. Carrolla „Alice in Wonderland" w wykonaniu Walta Disneya nie znalazła uznania krytyków brytyjskich. Krytykują oni szczególnie — jak p. C. A. Lejeune w „Observerze" — muzykę i piosenki dorobione specjalnie do filmu. Pochwały zbiera natomiast inny krótki film Disneya, wyświetlany równocześnie z „Alicją w krainie czarów" w londyńskim kinoteatrze „Odeon", „Beaver Valley".

UDRAMATYZOWANY UTWÓR KARDYNAŁA NEWMANA

Staraniem Katolickiego Komitetu „Festival of Britain" wystawiony będzie we wrześniu br. w londyńskim teatrze „Scala" (Charlotte Street, koło Tottenham Court Road) udramatyzowany poemat kardynała Newmana „Dream of Gerontius". Przedstawienia odbywać się będą przez tydzień, począwszy od poniedziałku 10 września. Zespół grających obejmujący sto osób, zawiera między innymi Roberta Speaighta, świetnego pisarza, a równocześnie aktora i recytatora.

WYSTAWA DZIAŁALNOŚCI MISJONARSKIEJ

W Westminster Cathedral Hall, koło Katedry Westminsterskiej odbywa się obecnie wystawa działalności misjonarskiej (Exhibition of Missionary Activities), zorganizowana staraniem Katolickiego Komitetu „Festival of Britain". Wystawa otwarta jest w dni powszednie od 2 po poł. do 10 wiecz., w soboty i niedziele od 10 rano do 10 wiecz. Wstęp 2/, dla dzieci 6 d.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 12 sierpnia 1951.

KOZACY I DUCH ŚWIĘTY

„JEST niemożliwe, żeby komunizm nie zwyciężył, gdyż ma on za sobą liczbę, logikę a nawet prawo, takie jakie fałszywa mądrość ludzi nowoczesnych głosi i propaguje od stulecia. Zasada równości, wsparta praktycznym ateizmem narodu francuskiego, prowadzi koniecznie do komunizmu. Nie idzie więc już bynajmniej o formę rządu ni o jakichś pretendentów". Tak pisał lat temu sto trzy „reakcyjny" katolik Montalembert:

„Komunizm jest religią Porządku, takiego, o jakim zawsze marzyli kapitalistyczni wielkomieszczanie. Porządek. Porządek nieubłagany na ulicy, ten który „panuje w Warszawie". Porządek jest zorganizowany przez władzę, w tym porządku nieomylną, w oczekiwaniu na raj sztuczny i ziemski, gdzie każdy będzie nieomylnie sprawiedliwy siłą bierności i przymusu a Porządek zleje się w jedno z wolnością. Komunizm jest katolickością bez Chrystusa, bez zaświata, bez nadprzyrodzoności, której wiara i nadzieja są tylko z tego świata. W gruncie rzeczy jest to posunięty do ostatecznego krańca pozytywistyczny katolicyzm p. Karola Maurras" tak określa komunizm R. L. Bruckberger, współczesny pisarz francuski, dominikanin.

Ludzie, którym się wydaje, że przeciwstawieniem komunizmu może być liberalizm czy laicki demokratyzm są ślepi. Komunizm jest konsekwencją jednego i drugiego i gdyby jakimś cudem świat powrócił do laickiej wolnomularskiej demokracji, komunizm powstałby w niej na nowo. Szukając lekarstwa na komunizm trzeba sięgnąć głębiej, poza podłoże, na którym on wyrósł, trzeba przeciwstawić się nie tylko Leninowi i nie tylko Marxowi ale Comte'om i Kantom, Spencerom i Fourrierom, Smithom i Suarezom.

Zdaniem o. Bruckbergera przeciwstawieniem „Manifestu Komunistycznego" jest „Syllabus" Piusa IX, który wielu katolików po dziś dzień uważa za żenujący a bez którego nie byłoby wielkich encyklik społecznych następnych papieży. „Syllabus" potępia nie tylko komunizm „avant la lettre" ale i całe podłoże myśli nowoczesnej, z którego się on wywodzi.

Komunizm, zauważa o. Bruckberger, jest szczególnie niebezpieczny dla narodów katolickich. „Gdy życie nadprzyrodzone się rozkłada i zanika i gdy narody katolickie tracą wiarę i usuwają Chrystusa ze swego życia społecznego i politycznego, stają się socjologicznie całkiem gotowe do komunizmu, który przywdziewa je jak parę własnych butów". Katolicyzm jest także potęgą porządku, ale innego porządku. Nadprzyrodzony porządek katolicki broni wolności, także przeciw liberalizmowi. „Gdyby liberałowie naprawdę kochali wolność, nie poświęciliby tak łatwo nadprzyrodzonego powołania człowieka i niezmiernego ryzyka jego wyboru i jego przeznaczenia."

W końcu lata 1949 r o. Bruckberger był na Saharze. Tam dotarł do niego tekst dekretu Świętego Oficjum przeciwko współpracy z komunistami. Przeczytawszy go, rozpłakał się ze szczęścia. „Pod nieubłaganym i ponurym okiem absurdalnego słońca saharyjskiego wyobrażałem sobie wybuch zadowolenia i gwałtowność reakcji rozpętanych w moim kraju przez ten dekret wyzwoleńczy". W kilka miesięcy później znalazł się na ziemi francuskiej. Swoje rozczarowanie wyraża słowami chemika Berthelota, opisującego jeden ze swoich eksperymentów: „Wówczas stała się rzecz nadzwyczajna: nie stało się nic". Oburzenie na katolików zachodnio-europejskich, a zwłaszcza francuskich wylewa o. Bruckberger w broszurze noszącej znamienny tytuł „Kozacy i Duch Święty". Tytuł ten jest cytatą powiedzenia Leona Blov sprzed czterdziestu lat: „Oczekuję Kozaków i Świętego Ducha".*)

Nie szczędzi w niej własnych rodaków: „Tym samym utylitarnym i ostrożnym spojrzeniem oceniali rząd p. Daladier (w okresie Monachium, przyp. tłum.), reżym Vichy i Wolną Francję (de Gaulle'a, w czasie wojny). Ten pierwszy zwalniał ich ostatecznie od odpowiedzialności za Europę i dawał im pokój, którego pragnęli za wszelką cenę, jak to wyraźnie okazali później. Po „deroute" jednak myśleli przez chwilę, że niebo zwali im się na głowy. Zwycięzca spod Verdun znalazł się wtedy by ograniczyć szkody i udowodnić, że klęska ma wiele korzyści. Zwolnił ich od prawdziwego poniesienia skutków hańby i nieszczęścia tej klęski. Potem de Gaulle i Wolni Francuzi pojawili się w sam czas, by im z wdziękiem przynieść do domu kostium zwycięzcy. Wślizgnęli się za niego w zwycięstwo, na które nie zasłużyli i którego kosztów, jako całość, nie chcieli ponosić. Można więc Monachium uważać za największą datę współczesnej historii francuskiej. Jej obchody ludowe powinny zastąpić naszego 14 lipca. Data ta ujawniła i ustaliła upartą wolę wykręcania się zawsze tanim kosztem, która zdaje się charakteryzować obecnie świadomość polityczną narodu francuskiego".

A teraz? „Obecnie w Europie zachodniej potęga przemysłowa i wojskowa Ameryki wywiera ten sam usypiający wpływ, jaki wywierała linia Maginota na nas w r. 1939. Wciąż wierzymy w św. Mikołaja. Ci nawet z naszych rodaków, którzy udają, że boją się imperializmu amerykańskiego i stawiają go w jednym rzędzie z imperializmem rosyjskim, chronią się ze swoimi frywolnymi dyskusjami za siłę amerykańską i będą zrozpaczeni, jeśli zobaczą ją ze wszystkich stron zalaną, jak niegdyś okrążona została linia Maginota. Tak właśnie dzieci w ogrodzie publicznym wyobrażają sobie, że nienawidzą swej guwernantki, ale wybuchają płaczem, kiedy je zostawi na chwilę same."

Europa zachodnia, jest, zdaniem autora, niczym innym obecnie jak „zone libre", słynną strefą nieokupowaną, jaką pozostawili Niemcy Pétainowi w południowej Francji. Jest ona niemal na równi na łasce bolszewików, jak „zone nono" była na łasce Niemców.

Autor nie ogranicza się jednak do bicia na alarm, lecz przedstawia wizję akcji. Wizja ta skierowana jest do młodych Francuzów. O dekrecie św. Oficjum powiada: „Wojna jest więc wypowiedziana, a byłoby zdumiewające gdyby nie została wypowiedziana. Kości są rzucone: wiara przeciwko wierze. Kościół przeciwko Kościołowi, religia powszechna przeciwko religii powszechnej, nareszcie może będzie warto żyć i umierać"! Rola papiestwa jest jasna: „Od Syllabusu do naszych dni te wszystkie potępienia, które zdają się uderzać na lewo, potem na prawo, potem znów na lewo, i znów na prawo przypominają posuwanie się naprzód niestrudzonego i olbrzymiego drwala — exultavit ut gigas ad currendam viam — który wciąż uparcie przerąbuje sobie trudne przejście poprzez wielki trujący las, by wreszcie spotkać twarzą w twarz, oko w oko przeciwnika na swoją miarę." „Czyż nie widzicie, że to jest piękne, te dwie wszechpotęgi, które się mierzą, Watykan i Kreml, Chrystus na ziemi i wieczny Got, te dwa państwa, o których mówi św. Augustyn: wspólny Ojciec i Pasterz powszechny a przeciw niemu Ojciec narodów, który istotnie płodzi je przez podstęp i gwałt w swej patriarchalnej tyranii?"

Autor przypomina, dla zniechęcenia tych, którzy twierdzą, że nie jest rzeczą katolików walczyć siła z wrogiem duchowym, interesujący fragment historii: w r. 635 najwyższy dygnitarz chrześcijański oddał klucze miasta Damaszku muzułmanom. Syn owego dygnitarza, nie przestając być chrześcijaninem był wezwrem Kalifa Damaszku, a wnuk jego był wielkim świętym i Doktorem Kościoła. Ale w pięćset lat potem nie było już ani jednego chrześcijanina w Damaszku a przeciw krzyżowcom bronił miasta muzułmanin, potomek rodu św. Jana Damasceńskiego. „Co do mnie wolę Karola Młota. Nie powiedziano o nim, że był dziadkiem świętego doktora Dzieki niemu jednak i jego zwycięstwu zdobytemu uderzaniem zbrojnych mas, mogli przyjść święty Ludwik i święty Tomasz z Akwinu, święta Joanna d'Arc i święta Teresa z Lisieux. Dzięki niemu nie jesteśmy muzułmanami i możemy jeszcze jako chrześcijanie doceniać godne podziwu dzieła Jana Damasceńskiego."

Stąd: „Hańba tym, którzy w Jałcie i Poczdamie oddali klucze Europy środkowej i wschodniej. To nie są ludzie chrześcijaństwa."

Przed katolikami stoi podwójne zadanie: „Bronią właściwą Kościoła jest broń światła. Jego żołnierzami są apostołowie... Apostolstwo nie polega na nawróceniu się na wiarę nieprzyjaciela ani nawet na gadaniu z nim, lecz na nawróceniu go. Wolą Kościoła jest by jego apostołowie doprowadzili jak najwięcej komunistów do wyparcia się ich wstrętnych doktryn i ich okropnej dyscypliny i stania się chrześcijanami." Równocześnie jednak „Kościół potrzebuje wolnego miejsca na ziemi, aby jego nauczanie mogło się rozwijać i przynosić owoce". Tu zaczyna się rola rycerstwa chrześcijańskiego. „Ma dobrą dyspozycję zostania rycerzem z serca i umysłu ten, kto: — odrzuca w zasadzie i w czynie powrót Kościoła do katakumb, wie, że nic nie jest bardziej niebezpieczne dla przyszłości Kościoła i chrześcijaństwa jak raz oddać klucze jakiegoś miasta, — ma siłę, wolę i skłonność prowadzić walkę, lojalna ale bronią tego świata walkę doczesna przeciw wrogowi doczesnemu, który by zaatakował Kościół lub to, co pozostaje z chrześcijaństwa".

„Jestem duchownym — powiada o. Bruckberger — moim powołaniem nie jest noszenie oręża. Wolno mi jednak pragnąć, by dziś jak niegdyś obok duchownych, których zadaniem jest dialog i nauczanie Bóg powołał rycerzy, którzy by sami podjęli obowiązek, na płaszczyźnie doczesnej, która jest ich płaszczyzną, realizowania sprawiedliwości i zapewniania żelazna ręka doczesnego bezpieczeństwa niezbędnego dla głoszenia Ewangelii."

Nie wystarczy jednak obrona Francji. Trzeba odbudować Europę, która niegdyś istniała jako jedność duchowa i nazywała się chrześcijaństwem. „Kogóż to ma interesować, jeżeli nie interesuje katolików?" Rzuca więc nasz dominikanin hasło stworzenia „Wolnych Chrześcijan", jak w czasie ostatniej wojny byli „Wolni Francuzi".

Ci „Wolni Chrześcijanie" z punktu widzenia komunistycznego będą... nihilistami. Postawcie się w wyobraźni na miejscu młodego katolika czeskiego, węgierskiego, czy polskiego... Ponieważ jest katolikiem, jest antykomunistą. Politycznie to wszystko. Nie ma on nadziei, ma tylko bunt. Bunt ten jest politycznie ślepy. Nie ma nadziei, ponieważ nie ma nic, co by mogło tę nadzieję wesprzeć i uzasadnić. W poprzedniej wojnie wierzył w demokrację i ona ożywiała jego działalność oporu. Teraz jednak zażywa jej w wielkich dawkach, w mocnym rozczynie tej demokracji. Zrozumiał, zrozumiał na zawsze. Nie może jednak stać się nazistą z miłości do wolności. Nie ma więc nic, nic, nic. Chciałbym mu powiedzieć, że cudowne jest właśnie to, że nie ma nic. Niech wszystkie jego złudzenia polityczne w stosunku do cywilizacji nowoczesnej się załamią, niech znienawidzi całą tę cywilizację nowoczesną, bo jest ona całą godną nienawiści, zbudowana, rozwinięta i wykończona w nienawiści do Boga i w pogardzie do człowieka wcielona statecznie w tyranii komunistycznej... Nihilista to właśnie on. Nihiliści to my. Jesteśmy dokładnie w położeniu Lenina w 1910 r. wobec totalitarnego ustroju społecznego, który zgodnie z nauką Syllabusu, totalnie odrzucamy. Jak nie widzieć niezmiernych przywilejów i niezmiernych możliwości tego położenia?"

Wreszcie, nieco niespodziewanie, autor proponuje młodym katolikom zorganizowanie referendum za zjednoczeniem Europy.

We wspaniałej prozie Bruckbergera jest nieco kaznodziejskiej przesady. Chęć czynu skłania go także do wyraźnie entuzjastycznej postawy w stosunku do generała de Gaulle i jego ruchu który niekoniecznie wydaje się być wcieleniem ducha rycerstwa chrześcijańskiego. W każdym razie jednak głos ojca Bruckbergera ma w sobie dużo świeżości. Jest zupełnie niepodobny do tych pieszczących się własnym intelektualizmem głosików, jakie najczęściej dochodzą nas ze strony katolików francuskich. Daje on świadectwo temu, co uważają ludzie znający Francję nie tylko z wydawnictw paryskich, że w tym uśpionym narodzie są jeszcze siły zdrowe a przede wszystkim jest charakter, którego nie widać na powierzchni życia francuskiego, a który pozwala przynajmniej spojrzeć prawdzie w oczy i nazwać rzeczy po imieniu. Do tego charakteru stara się odwołać książka o Kozakach i Duchu Świętym.

Wojciech Wasiutyński

*) R. L. Bruckberger. Dominicain. LES COSAQUES ET LE SAINT ESPRIT. La Jeune Parque. Paris 1951. Str. 140.

Z KRAJU

NOWE WYDAWNICTWA

Nakładem „Pax" ukazała się w Kraju książka Daniela Ropsa Dzieje Chrystusa („Jésus en son temps") w przekładzie Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, ze słowem wstępnym ks. dra Eugeniusza Dąbrowskiego. Jak twierdzi recenzent (ks. J. Rosiak, T. J.) „Przeglądu powszechnego" — „myśl autora oddać wiernie zachować oryginalność języka, przejąć kadencję zdania, rezonansem mowy własnej odpowiedzieć na ton mowy cudzej, barwą na barwę, dźwiękiem na dźwięk — nie było łatwo", ale tłumaczka wywiązała się ze swego zadania dobrze, choć nie uniknęła niedokładności.

W tym samym czasopiśmie B. Grodzicki zajmuje się Alchemią słowa J. Parandowskiego. Wyszła ona nakładem Gebethnera i Wolffa parę miesięcy temu. Książka ta, składająca się z 13 essayów, zajmuje się psychologią twórczości literackiej, której w naszej literaturze poświęcono mało uwagi. Grodzicki zachwyca się książką podkreślając, że nie jest ona „monografią estetyczno-psychologiczną, lecz... dziełem sztuki."

Nakładem „Czytelnika" ukazała się praca Boya Żeleńskiego O Balzaku, opatrzona słowem wstępnym M. Żurowskiego. Biografia ta jest rozwinięciem przedmowy Boya do „Straconych złudzeń". Każdy z rozdziałów tego „wszechstronnego studium o Balzaku" (jak pisze O. Porycki w wyżej cytowanym piśmie) jest właściwie „osobnym, świetnym essayem". Tę „pracę o Balzaku zaliczyć wypada do najświetniejszych spośród niemałego dorobku (Boya) w dziedzinie krytyki. Widać, że znawca pisze o przedmiocie, którego badaniu poświęcił znaczną część swego życia."

Tenże „Czytelnik" wydał również O Mickiewiczu Boya. Książka ta zawiera zbiór szkiców Boya, rozsianych poprzednio po czasopismach i książkach. Mają one charakter publicystyczny, a zatem jednostronny, pasionuje jednak szalony temperament autora.

Wreszcie ukazała się Antologia literatury francuskiej w przekładach i opracowaniach Boya. Jest to drugie wydanie, przygotowane przez Mieczysława Brahmera, wydane nakładem Ossolineum we Wrocławiu. Antologia ta obejmuje 30 nazwisk, przy czym niektóre z nich reprezentowane są wyborami z kilku dzieł (np. Pascal, Molier, Montespujeu).

„Książka i Wiedza" wydała Różowe i czarne Stendhala („Romans et nouvelles"), w przekładzie Juliana Rogozińskiego, który kontynuuje pracę Boya. Tomik ten składa się z trzech nowel, artystycznie nierównych.

Ponadto należało by wymienić książkę Juliusza Nowaka-Dłużewskiego pt. Stanisław Konarski, z przedmową prof. Konrada Górskiego, wydaną przez „Pax", Dogmat zmartwychwstania pióra ks Marcina Ziółkowskiego („bardzo miła rozprawka, teologicznie nienaganna, a pobożnością przemawiająca do serca"), oraz „Pradzieje Czechosłowacji" Jana Filipa, przełożone z czeskiego przez Józefa Kostrzewskiego, a wydane przez Instytut Zachodni w Poznaniu.

„NAGRODY PAŃSTWOWE"

„Nagrody państwowe" za rok 1951 zostały przyznane przez „prezydium rządu" w „dziedzinie nauki, postępu technicznego i sztuki." Naukowe nagrody I stopnia otrzymali: prof. Michał Broszko (hydromechanika teoretyczna); prof. Witold Budryk (kopalnictwo); prof. Adolf Chybiński (muzykologia i historia muzyki); Jan Czarnocki (geologia); prof. Natalia Gąsiorowska - Grabowska (historia ekonomii); prof. Janusz Groszkowski (radiotechnika); prof. Kazimierz Kuratowski (topologia); prof. Stefan Pieńkowski (fizyka doświadczalna); prof. Feliks Przesmycki (mikrobiologia); prof. Wojciech Rubinowicz (fizyka teoretyczna); prof. Hugo Steinhaus (matematyka); prof. Janusz Supniewski (farmakologia); prof. Wojciech Świętosławski (fizyka i chemia cieplna); prof. Feliks Terlikowski (gleboznastwo).

Naukowe nagrody II stopnia otrzymali: prof. Ludwik Fleck (mikrobiologia); prof. Adam Gruca (chirurgia kostna); prof. Józef Heller (fizjologia); prof. Janusz L. Jakubowski (elektrotechnika); prof. Józef Kostrzewski (epidemiologia); prof. Adolf Langrod (kolejnictwo); prof. Wacław Moszyński (maszynoznastwo); prof. Adam Opalski (neurologia); prof. Bogumił Pawłowski (florystyka Tatr); prof. Eugeniusz Pijanowski (mieczarstwo etc.); doc. Eleonora Reicherówna (reumatologia); prof Błażej Roga (koksochemia); prof. Romuald Rosłoński (hydrologia); prof. Stefan Z. Różycki (geografia); prof. Adam Schaff („Narodziny i rozwój filofii marksistowskiej"; prof. Kazimierz Smulikowski (petrografia); prof. Bogdan Stefanowski (technika cieplna); prof. Witold Stefański (parazytologia); prof. Marceli Struszyński (chemia analityczna); prof. Jerzy Suszko (chemia organiczna); prof. Paweł Szulin (elektrotechnika); prof. Michał Śmiałowski (korozja międzykrystaliczna); prof. Stanisław Thugutt (mineralogia); prof. Tadeusz Ważewski (analiza matematyczna); ponadto przyznano jedną nagrodę zespołową.

Naukowe nagrody III stopnia otrzymali: prof. Stanisław Bac (torfologia, hydrologia); prof. Włodzimierz Burzyński (mechanika); doc. Irena Chmielewska (biochemia); prof. Wiktor Dega (chirurgia rehabilitacyjna); doc. Kazimierz Demel (biologia Bałtyku); prof. Gerard Labuda (historia); prof. Bogusław Leśnodorski historia prawa); prof. Stanisław Popowski (patogeneza reumatyzmu); prof. Antoni Sałustowicz (górnictwo); prof. Edmund Szczepaniak (badania modelowych konstrukcji); dr Edward Wojciechowski (serologia); prof. Roman Wojtasiuk (ekologia i etologia zwierząt).

Nagrody w „dziale postępu technicznego" są przeważnie zbiorowe.

W „dziale literatury i sztuki" nagrody I stopnia otrzymali: Leopold Staff, Julian Tuwim, Wojciech Brydziński, Grzegorz Fitelberg, Jan Koszczyc-Witkiewicz; ponadto przyznano dwie nagrody zespołowe.

Nagrody II klasy otrzymali: Walerian Bierdiajew (za wystawienie „Halki" i „Borysa Godunowa"; Jerzy Broszkiewicz (za powieść o Chopinie „Kształt miłości"); Alfons Karny (za portret gen. Świerczewskiego) prof. inż. arch. Zdzisław Mączyński, Gustaw Morcinek (za powieść „Pokład Joanny"); Andrzej Panufnik (za „Symfonię pokoju"); Halina Rudnicka; Stanisław Szpinalski; Wacław Wąskowski (drzeworyty do książek Puszkina i do „Pamiętników więźnia" Dzierżyńskiego); Edmund Wierciński (reżyser teatralny); ponadto przyznano 5 nagród zespołowych.

Nagrody III stopnia otrzymali: Tadeusz Baird (za I Symfonię); Lesław Bartelski (za powieść „Ludzie zza rzeki"), Janina Broniewska, Anna Kowalska (za powieść „Wielka próba"): Ryszard Matuszewski; Adam Smolna (za rzeźbę „Raymonde Dien", przedstawiającą znaną francuską „działaczkę pokojową"); Konstanty Sopoćko (za cykl rysunków z życia Dzierżyńskiego); Aleksander Ścibor-Rylski (za powieść „Węgiel"); również przyznano trzy nagrody zbiorowe.

NAGRODY K. U. L.

Na KUL-u z końcem roku szkolnego odbyło się uroczyste wręczenie nagród zwycięzcom konkursu literackiego, rozpisanego przez Koło Naukowe Polonistów KUL-u. Jury, złożone z przedstawicieli grona profesorskiego wydziału humanistycznego KUL-u Związku Literatów oraz Koła Polonistów, przyznało pierwszą nagrodę w dziale prozy Jerzemu Krzysztoniowi, zaś w dziale poezji Halinie Pamfiłowicz.

OGROMNY WZROST OFIARNOŚCI NA KATOLICKIE NAGRODY LITERACKIE

Ostatnie tygodnie przyniosły znaczny wzrost ofiarności Czytelników pism katolickich w W. Brytanii na Katolickie Nagrody Literackie. W ciągu półrocza zebraliśmy zaledwie niecałe 25 £, podczas kiedy w ciągu ostatniego miesiąca napłynęło 32 funty.

Na czele Ofiarodawców stoją dwie polskie parafie: Birmingham i Manchester, Księży Proboszczów Fr. Kąckiego i J. Basa, którzy nie tylko zorganizowali publiczne składki, ale zaapelowali z powodzeniem do szeregu organizacji społecznych. W rezultacie z Birmingham wpłynęło, nie licząc dotychczasowych ofiar jednostkowych, 13 £ 10 sh., zaś z Manchester £ 9.

Szczególnie uderzającym zjawiskiem jest wysoka przeciętna jednostkowych ofiar, sięgających 1 £, a nie schodzących niżej 2/6. Nasz apel nie pozostał zatem bez echa i może być jeszcze jednym świadectwem wspaniałej solidarności katolickiego społeczeństwa Polaków na obczyźnie. Dzięki niej tegoroczne Nagrody Literackie są zapewnione.

Zwracamy się jeszcze do tych, którzy mogą złożyć jakieś drobne ofiary, aby to uczynili. Nie chodzi wcale o wysokie wpłaty. Szczęśliwi będziemy na widok nawet kilkupensowych ofiar.

A oto lista składek po dzień 1 sierpnia 1951. Poprzednia lista ogłoszona była w 25 nrze „Gazety Niedzielnej" z dnia 24 czerwca b.r. i zamykała się kwota 24 £ 4 szylingi i 9 pensów. Dalsze ofiary pochodzą od Instytucji i Osób następujących:

H. Strzelecka	0. 2.0
Komisja Likwidacyjna Pol. Komitetu Kościelnego w Bolton	1. 0.0
A. Paschke	1. 0.0
M. Chmieleńska	0. 5.0
M. Prugar	1. 0.0
E. Gierart	0. 2.0
T. Kasiński	1. 0.0
W. Jarmuła	0. 5 0
A. Łubgan	0. 2.6
A. Ciechanowski	0. 5.6
A. E. Zyzoń	0. 2.6
S. T.	0.11.3
H. Ł.	0. 2 6
K. Mańkowski	0. 2.0
A. Jurczyńska	0. 5 6
Bezimiennie	0.10.0
Koło Sodalicji Mariańskiej z Ludford Magna (Lincs)	1. 0.0
A. Polański	0.10 0
W. Pluciński	0.10.0
M. F. Durka	0. 4 0
Bezimiennie	0. 2.0
M. Janiszewski	0. 2.6
Duszpasterze Polscy w Manchester	5 0.0
Koło IPAK Manchester	1. 0.0
Koło Sodalicji Mariańskiej w Manchester	1. 0.0
Koło IPAK w Oldham	1. 0.0
Koło IPAK w Rochdale	1. 0.0
F. Niwczyk	0. 5.0
Polskie Koło Katolickie w Birmingham	1. 0.0
Koło SPK Birmingham	0 10.0
Koło ZRRP Birmingham	0.10.0
Koło Związku Inwalidów Woj. PSZ Birmingham	0. 5 0
Zbiórka na nabożeństwie w dniu 22 lipca b. r.	11. 5.0
P. Kowalski	0. 2.0
Razem £	32 01.3
Łącznie z listą poprzednią £	56. 6.0

PAMIĘTAJ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH

O. Ad. TANQUEREY

ZARYS TEOLOGII ASCETYCZNEJ I MISTYCZNEJ

Z oryginału francuskiego przełożył Ks. P. Mańkowski 2 tomy, Kraków, 1949 r.

Cena £ 2. 8. 0.

Ograniczona ilość egzemplarzy

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suisse. Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund, Sverige, Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734